

PION

CENA 50 GR

ROK VI NR 13 (234)

WARSZAWA

3 KWIETNIA

1938 ROKU

TYGODNIK LITERACKO - SPOŁECZNY

TREŚĆ

TADEUSZ ZIELIŃSKI - BEATUS ILLE...
TADEUSZ PEIPER - MADRYT KRÓLEWSKI
LEOKADIA BIELSKA - NOTATKI Z KRZEMIEŃCA
WAĆLAW RADULSKI - O KLASYCZNEJ FORMIE SŁUCHOWISKA
HELENA WIELOWIEYSKA - WIERSZE

czas. 12442/6/13

JAN EMIL SKIWSKI

„...A KULTURĘ ZROBIMY PÓŹNIEJ”

Przeczytałem artykuł p. Stefana Kisielewskiego (*Pion*, Nr 231) pt. *Sprawa młodzieży*. Jego ciekawą stroną jest to, że autor formułuje najmniej popularne stanowisko społeczno - polityczne młodzieży dzisiejszej. P. Kisielewski jest zwolennikiem znormalizowanej pracy w myśl wskazań rozsądku w ramach państwowości polskiej, daleki zarówno od nacjonalistów spod znaku O. N. R., jak od formacji skrajnie lewicowych. Artykuł nabiera tym większego znaczenia, że wyszedł spod młodego pióra, a więc w pewnym sensie wypowiedziane w nim poglądy można traktować jako programowe jeśli nie dla określonej grupy politycznej, to w każdym razie dla pewnego typu umysłowości, reprezentowanej wśród młodego pokolenia. I oto przychodzi mi na myśl ułożenie bodaj prowizorycznego bilansu dorobku ideowo - politycznego naszej młodzieży. Artykuł p. Kisielewskiego jest mi tu pomocny, gdyż jakkolwiek — o ile mogę sądzić — poglądy autora są poglądami tylko nieznacznie mniejszości naszej młodzieży, to niemniej nuta, którą wnoszą, dopelnia obrazu całości.

Zaczynamy od lewicy. Dzisiaj pojęcie lewicowości w znaczeniu, w jakim je przyjmowano jeszcze w początku naszego stulecia, straciło na wadze. Jeśli wyłączymy ludzi, należących do lewicy „młodzieżowej”, a nie mających nic wspólnego ani z kulturą polską ani z polską myślą polityczną, jak również tych, którzy świadomie i konsekwentnie wyznają ideologię komunistyczną, działając w porozumieniu z Moskwą, czy choćby tylko w zgodzie z nią — pozostanie grupa bez fizjonomii, myślowo wyjałowiona. Mam na myśli tych wszystkich, którzy szczerze walczą o ideał klasycznej demokracji parlamentarnej. Od ludzi tych najtrudniej dowiedzieć się, czego naprawdę chcą. Bo niesposób przypuścić, aby ktoś jako tako zorientowany w świecie dzisiejszym, mógł uważać za drogę prowadzącą do realnego rozwiązania istniejących trudności klasyczny parlamentarizm (u nas, po najjaśniejszej pamięci okresie sejmowładztwa!). Aby mogło mu się zdawać, że pozostawienie wolnej grze sił rozwoju spraw państwowych, społecznych i gospodarczych może być dziś realnym programem działania. (Ciekawa rzecz, jak ci panowie wyobrażają sobie w tej upragnionej atmosferze dyskusji i gier realizować sprawiedliwość społeczną!). Nie, tego głupstwa nikt rozsądnie myśleć nie może. Pozostają więc na widowni tylko stany emocjonalne, odruchy sympatii i niechęci, którym się ślepo zawierzyło i które nie z młodzieżą już, ale z dziećmi lekomyślnością utożsamia się z poglądami politycznymi, ba! nawet z programem politycznym. Trudno o coś bardziej bezbarwne, kapryśnego, chwiejnego, oderwanego od rzeczywistości, jak two takiego demokraty-

lewicowca na tle życia dzisiejszego. Nie znaczy to jednak, aby istnienie tej grupy należało lekceważyć. Trzeba tylko wyraźnie powiedzieć, na czym polega jej znaczenie. Nie polega ono na żadnym dorobku myślowo-politycznym; godne uwagi jest to tylko, że stara, mglista ideologia „lewicowa” jest u nas terenem spotkania wszystkich żywiołów polskich, świadomie lub nieświadomie — to obietne — opóźniających, klarowanie się pewnych procesów społecznych, których doprowadzenie do końca jest po prostu warunkiem naszej dalszej egzystencji. Młodzież lewicowa jest grupą bez znaczenia, o ile chodzi o wartość konstruktywną jej poglądów, ale równocześnie budzi żywy niepokój, jako czynnik zastoju i marazmu społeczno - politycznego.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z młodzieżą nacjonalistyczną, składającą się z wielu grup, ale najwyraźniej wypowiadającą się w programie i działaniach ONR-u; i tutaj proszę do pomocy p. Stefana Kisielewskiego — nie po to jednak, aby korzystać z jego definicji, dotyczących naszego młodego nacjonalizmu; raczej przeciwnie: aby podkreślając kontrast między rzeczywistością i tymi definicjami, tym jaskrawiej uwytknięte pewne cechy charakterystyczne naszego bojowego nacjonalizmu młodych. P. Kisielewski nazywa ten nacjonalizm „skarłowacią”. Jak się okazuje z dalszych wywodów, podstawą tego zarzutu jest to, że ów nacjonalizm zamiast przyjąć ideały imperialistyczne, skierował swoją uwagę na wytepienie „rzekomego wroga wewnętrznego”. Rzecz przy tym charakterystyczna: autor nie chce tego wroga wewnętrznego nazwać z imienia. Dyskretnie niepotrzebna zresztą, bo i tak adres jest widoczny — chodzi o Żydów. Pomijam na razie sprawę imperializmu, powrócę do niej w dalszym ciągu; tymczasem zajmę się „wrogiem wewnętrznym”.

Otóż trzeba sobie odpowiedzieć wyraźnie na pytanie, czy można i należy z polskiego stanowiska uważać za normalne takie rzeczy, jak np. kolosalną przewagę Żydów w przemyśle i handlu, ustawiczny wzrost ich materialnego posiadania, fakt, że są dzisiaj właścicielami ogromnej większości nieruchomości w dużych miastach Polski centralnej, południowej i wschodniej oraz niepodzielnymi niemal panami miasteczek? Czy to jest normalne i słusze? Czy chcemy, by ten proces posuwał się coraz dalej i by konsekwentnie doszło do jeszcze większego wzmocnienia się materialnej potęgi Żydów w Polsce? Czy uważamy za rzecz normalną, słuszną i pożądaną, by Żydzi byli bez ograniczeń dopuszczeni do urzędów, aby byli sędziami wydającymi wyroki w sprawach nas dotyczących, urzędnikami, wymierzającymi nam podatki, nauczycielami, uczącymi

nasze dzieci, adwokatami, lekarzami spełniającymi funkcje swego zawodu wśród naszego społeczeństwa? Czy istotnie chcemy tego, czy taki stan uważamy naprawdę za pożądaną? Jeśli tak, to w porządku. Ale w takim razie niesłuszenie zarzuca się naszym młodym nacjonalistom ideologię „skarłowacią”; należy im zarzucać ideologię z gruntu fałszywą.

Zastanówmy się jednak, czy można z polskiego stanowiska powyżej scharakteryzowany stan rzeczy uznać za pożądaną, a bodaj za możliwą do tolerowania. Odpowiedź jasna: można, ale tylko wówczas, kiedy się wykreśli z naszych pojęć obiegowych „nas” i „ich”. Wtedy zagadnienie żydowskie zginie. Co najwyżej, dla osiągnięcia doskonałej harmonii możemy żądać skasowania pejśów i chałatów, oraz tego, aby pan Ajzyk Rozengarten zmienił nazwisko na rdzennie „polskie” Ziemowit Różanyogród. Wtedy już wszystko będzie w porządku. Każda jego zdobycz, każdy jego zarobek, każdy jego sukces jest naszą zdobyczą, naszym zarobkiem, naszym sukcesem. Jednak aby do takich wniosków dojść, trzeba się wyrzec instynktów, zmysłu obserwacji, wszelkiego żywego odruchu wyobraźni, trzeba w ogóle zniwelować i zniekształcić swoją psychikę tak, aby stała się nieczuła na największe bodaj nonsensy. Mówiąc tak, nie zajmuję stanowiska rasistowskiego. Rasizm opiera się na przesłankach psycho - fizycznych. Rasista będzie Żydom przypisywał ich cechy (w pojęciu aryjskiego rasisty najczęściej ujemne) strukturze psycho - fizycznej narodu żydowskiego. Daleki jestem od głoszenia tego rodzaju poglądów. Nie mogę jednak wziąć rozbratu ze zdrowym rozsądkiem i z naturalnym determinizmem, który wszyscy mniej lub bardziej chętnie wyznajemy, wreszcie nie mogę nie czuć, nie obserwować, nie widzieć. A wszystko to skłania mnie do poglądu, że naród od dwóch tysięcyletni żyjący w diasporze, w warunkach odmiennych od innych narodów, naród, który wytworzył sobie odrębną strukturę społeczną, odrębną etykę, odrębne formy międzynarodowego obcowania, polegającego między innymi na kojarzeniu przynależności do narodu tubylczego i do żydowskiego międzynarodowego nadnarodu, — że taki naród musi być tak dalece nie podobny do nas psychicznie pod każdym względem, iż niepodobnie się nieuczucie i nieuwzględnianie tych różnic w procesach organizacji społecznej i państwowej narodu polskiego jest takim samym nonsensem, jakim byłby upór człowieka normalnego, chcącego nosić ubranie garbusa. Niedawno, bo w czasie „dni litewskich” sami Żydzi zademonstrowali nam swoją „odrębność” i specyficzny stosunek do „tubylców” z wyrazistością nie pozostawiającą nic do życzenia — stając „jak jeden mąż” w okien-

kach kas, by w chwili groźnej okazać lojalność państwu przez usiłowanie ogolenia go z zasobów pieniężnych.

Zdaję sobie doskonale sprawę, jak twarde są prawdy, które tu przypomniałem, i jak muszą być niemile p. Kisielewskiemu, którego delikatne uczucia rozumiem i cenię. Wiem również dobrze, że w polemice potocznej przedstawia się te prawdy jako „truizmy” i to truizmy barbarzyńskie. Na to mogę tylko odpowiedzieć, że prawo gracji jest najdoskonalszym truizmem, z czego jednak bynajmniej nie wynika, aby wolno było się z tym prawem nie liczyć. Powiedzą mi wreszcie, że żyją wśród nas Żydzi, zasługujący na szacunek. Wiem o tym. Znam wśród nich ludzi czcigodnych, wierzę, że istnieją wyjątkowe wypadki, kiedy zróżnicuje się Żyda z narodem tubylczym może być absolutne, skłaniam głowę przed tragedią osobistą ludzi, którzy przynależność swoich przodków do narodu żydowskiego muszą — dziś zwłaszcza — odczuwać szczególnie boleśnie. Ale to w niczym absolutnie nie narusza istoty stosunku, istniejącego między masą polską i masą żydowską.

Zarzut więc ciasnoty czy karłowatości, wysunięty przeciw naszym młodym nacjonalistom dlatego, że uważają za kardynalny problemat życia polskiego rozwiązanie kwestii żydowskiej, jest błędny. Owszem, tutaj wyczuli doskonale prawdziwe intencje i prawdziwe pragnienia najszerszych rzesz narodowych (pomijam sprawę metody działania). Fakt, że dzisiejszy „sanacyjny” Sejm liczy w swoim gronie takich ludzi jak posłowie: Dudziński, Hoppe, Sikorski i inni, jest bardzo efektywnym potwierdzeniem tej prawdy. Nacjonalizm — o czym zdaje się zapominać p. Kisielewski — nie może przybierać form dowolnych, nie jest czymś co może być takie lub owakie. On zawsze musi się opierać o to co jest, o te pragnienia narodu które są, o te prądy które w nim nurtują. Na tym właśnie polega jego istota, że wierzy on w prawdziwość i nieomyślność instynktu narodowego. Jest to ziarno mistycyzmu, które jeśli z nacjonalizmu usunąć, obróci go się sniwech. Praca przekształcająca nacjonalizm nie polega na tym, że się narodowi dorabia ideologię taką, jaka się podoba jakimś politykowi, ale jedynie na porządkowaniu, doprowadzaniu do wyższej formy tego, co jest ukryte w złościach duszy narodu.

Ale też na tym trafnym wycuciu zagadnienia żydowskiego kończy się, niestety, rola naszego młodego nacjonalizmu. Owszem, można mówić o jego karłowatości, ale z zupełnie innych względów. — Kiedy rozmawiam z przedstawicielem naszej młodzieży nacjonalistycznej, zadaję zwykłe pytanie: — A jaką macie politykę kulturalną? — Pytanie to zazwyczaj jakby ludzi ze snu

W 1003 1/6/688

mojego rozmówce. Zaczyna bąkać: — Kultura, ach owszem... My bardzo cenimy literaturę, rozumiemy jej rolę w życiu narodowym, tak... Ale widzi pan, teraz na to nie ma czasu, są pilniejsze rzeczy do roboty... Kultury „zrobimy” później. — Tu jest ich „pięta Achillesowa”. Kiedy się z nimi mówi o kulturze, wyobrażają sobie, że chodzi o jakieś pięknoduchowskie bajanie na temat „uszlachetniającego działania literatury i sztuki”. Nie rozumieją, że tu wchodzi w grę sprawa głęboka i zasadnicza. Ze chodzi o poruszenie tych sprężyn, tych *idées motrices*, które nadają sens, kierunek i dynamikę ruchowi politycznemu. Wszystkie współczesne ruchy narodowe zawdzięczają swoją indywidualność i atrakcyjność właśnie tym siłom. Stwarzają nowy ideał, nowy typ życia, nowe normy prawne, nowe formy obcowania, obyczaju, życia towarzyskiego, nawet nowe systemy odżywiania. Niestety, nasz młody nacjonalizm jest po uszy pogrążony w politykierstwie, krótkowzroczny, brak mu głębszej wyobraźni twórczej. Jak dalece są mu obce sprawy o których mówię, tego jednym z dowodów może być to, że nie potrafił powiedzieć nic istotnego, nie naprawdę ważnego o roli kultury szlacheckiej w Polsce współczesnej. Nie rozumieją, nie widzą tego problemu. Wobec takich faktów, jak zjazd szlachty zagrodowej, nie umieli zająć żadnego stanowiska. A jeśli coś mówią na ten temat, to tylko zdawkowe frazesy dziennikarskie. Brak im atrakcyjnej koncepcji nowej Polski. Ich wynurzenia ideologiczne nie pozostają w żadnym uchwytym stosunku do pracy nacjonalistów starszego pokolenia: Balickiego, Popławskiego, Zygmunta Wasilewskiego. Tutaj obserwujemy wyraźne ustechnienie: „młodzi” przez swoje politykierskie nałogi, przez swą na odepniętą markowaną ideologią są od starych o wiele bardziej dziewiętnastowieczni. Np. stosunek szlachty do chłopstwa traktują schematycznie,

sposstrzegają tylko stronę gospodarczą zagadnienia, w artykułach na ten temat — jeśli pominią gatunek frazeologię — wpadają w styl niemal marksistowski z tak charakterystycznym mieszanym kryteriów gospodarczych, moralnych i kulturalnych. Uczniowie Świętochowskiego. Jeśli nasz młody nacjonalizm ma być naprawdę ruchem politycznym, potężnym prądem, zdolnym poruszyć masy, musi wyjść z politykierstwa, musi zrozumieć łączność, istniejącą między zagadnieniem struktury gospodarczej i struktury kulturalnej narodu. Musi dojść do syntezy tych obu struktur.

Wreszcie niesposób nimitać milczeniem stosunku naszego młodego nacjonalizmu do religii, ściślej: do Kościoła katolickiego. P. Kisielewski poświęca tej sprawie kilka zajmujących uwag; podkreśla, że zainteresowania religijne naszego młodego nacjonalizmu pomijają etykę katolicką, kierując się całkowicie w stronę Kościoła, jako instytucji doczesnej o wielkiej dyscyplinie wewnętrznej i wspaniałej organizacji. Diagnostyka efektowna, ale nieścisła. Religijność naszych młodych nacjonalistów nie jest obojętna, jakkolwiek — głębiej biorąc — nie jest katolicka. Katolicyzm jest naszą najbliższą rzeczywistością religijną i ludzi, wyznający jakąkolwiek mistykę, odczuwający potrzebę oparcia się o pewne wartości metafizyczne — a ta potrzeba występuje w silnym stopniu u młodego pokolenia naszych nacjonalistów — zwracają się do tej organizacji religijnej, która jest najbliższa, która jest już gotowa. Oczywiście, ludzie w ten sposób ustosunkowani do Kościoła nie przyczyniają się do rozwoju myśli katolickiej i nie są, biorąc ściśle, zdobyczą dla katolicyzmu. Drugim motywem bliskości ich do Kościoła katolickiego jest jego *rymskość*. Katolicyzm, tak czy inaczej, odjudaizował chrześcijaństwo. Surowość jego form, charakter jego liturgii, jego ryer-

skie tradycje — wszystko to dość dobrze harmonizuje z postawą duchową młodzieży nacjonalistycznej.

W porównaniu z dynamizmem naszego młodego nacjonalizmu, który mimo swych dużych wad ma niewątpliwie zarodki żywotności, stanowisko zdrowego rozsądku i spokojnej pracy, w ramach państwowości, którego rzecznikiem jest p. Stefan Kisielewski, wydaje mi się konkurentem niezbyt silnym na polu utarczek ideowo - politycznych. I tu znowu powracam do artykułu, na który powoływałem się na początku. Rzecz charakterystyczna: autor na przestrzeni tych kilkuset wierszy dokonywa olbrzymiej wprost ewolucji pojęć. Z początku mówi, że nacjonalizm młody jest „karłowaty” i że nam jest potrzebny *inny* nacjonalizm, imperialistyczny, z szerokim gestem. Już trochę dalej porzuca w ogóle nacjonalizm i mówi tylko o *patriotyzmie*. Ta zmiana terminologiczna przychodzi autorowi niezmiernie łatwo, nie spotrząga widocznie, że przeniósł się w inny świat pojęciowy. Terminologia w humanistyce jest zawsze chwiejna, jednak do pewnych granic. Nacjonalizm jest systemem opartym na immanentnych kulturalno - psychicznych właściwościach narodu; patriotyzm — to postawa obronna wobec wrogów zewnętrznych zagrażających ojczyźnie. Dyktans, który te pojęcia dzieli, jest dystansem między ideologią i gestem. Przy końcu swojego artykułu daje nam autor wspaniałą okazję do podziwiania niezwykłej chyżości skoku, na którą tylko młodość może się zdobyć. Nie mówi już ani o nacjonalizmie, ani o patriotyzmie, tylko o państwowości; samo pojęcie narodu polskiego uważa za nie wystarczającą podstawę twórczości społeczno-politycznej i określa ją jako „minimalistyczne”. Jest to jednak skok wstecz, do przebrzmiałej epoki „przedzoozowej” przestawiania narodowi — państwa.

Istotne jest w tym artykule nawoływa-

nie do imperializmu. To jest strona pozytywna wywodów p. Kisielewskiego, narzut pewnego programu, wskazanie kierunku. Imperializm ukazuje się nam w dwojakiej postaci: jako imperializm dynastyczny, oparty na potęgę, ambicji, autorytacie i sile ekspansyjnej dynastii. Taki był — aby cytować najbliższy przykład — imperializm żalosnej pamięci monarchii austro - węgierskiej, rządzonej przez Habsburgów. Drugi typ — to imperializm polegający na stworzeniu tak doskonałego, atrakcyjnego systemu organizacji społeczno - polityczno - gospodarczej, że ten system, te ramy, które się stwarza, stanowią ognisko dynamicznego rozwoju państwa. Zacierają się różnice narodowościowe i pojęcie obywatela zaczyna skutecznie konkurować z pojęciem rodaka. Taki był imperializm rzymski, taki jest współczesny imperializm brytyjski. Sześćdziesiąt lat temu imperializm w Polsce jest w tej chwili donkiszoterią. Nie mamy gdzie łokci rozprostować, otoczeni niepewnymi sąsiadami; za nami przeszło stuletni okres zdezorganizowanego życia społeczno - kulturalnego, w kraju — kolosalna mniejszość żydowska, wysysająca nasze żywotne soki — i chcemy tworzyć imperializm. Mamy się rozrastać, organizować inne narody, dać jakąś formułę rządzenia dla nich atrakcyjną, wytrzymującą konkurencję na rynku europejskim, ale nie wiemy jeszcze kto się będzie rozrastał: my czy Żydzi. Bo taka jest kolejność zagadnień. Marzenia imperialistyczne są objawem żywotności i dynamiki. Ale nie wierzę w żadne marzycielstwo, które nie zająbą się o obserwację, które nie umie przemawiać chłodnym językiem trzeźwości i realizmu. To właśnie jest romantyka nieodpowiedzialna. I zdarza się czasem, że dochodzą do niej ci właśnie, którzy z założenia występują w imię idealów umiaru, realizmu i zdrowego rozsądku.

JAN EMIL SKIWSKI

TADEUSZ ZIELIŃSKI

BEATUS ILLE...

I

Niestrudzony badacz naszej przeszłości kulturalnej, prof. Stanisław Kot, wydał niedawno książeczkę (149 str.) p. t. *Urok usi i życia ziemianśkiego w poezji staropolskiej* jako osobne odbicie z księgi pamiątkowej na 75-lecie *Gazety Rolniczej*. Jest to książeczka w głównej swej części antologia poezji ziemianśkiej wieków XVI i XVII, przeważnie mało znanej lub też zupełnie nieznaną; poprzedza ją jednak studium krytyczne o tej poezji (str. 1 — 34), ciekawe pod wieloma względami. Wskazuje w nim autor na ten zastanawiający fakt, że chociaż życie wiejskie, a więc i stosunek do niego — przeważnie ujemny — ziemian, istniało w naszej ojczyźnie od dawien dawna, jednak „urok” tego życia został odczytany dopiero w połowie wieku XVI, i to pod „bardzo wyraźnymi auspiciami Horacego”. „Fakt ten, ciągnie dalej, ma swoje głębsze uzasadnienie: trzeba było dopiero kultury humanistycznej, wychowania na klasykach rzymskich, aby nadać poetycką sankeję opisowi codziennego, potocznego życia, aby poecie szlacheckiemu otworzyć oczy na poetyckość tego tematu”.

Nie jest to przykład jedyny, ale jeden z najbardziej jaskrawych i przekonujących i, co też należy podkreślić, dla nas Polaków szczególnie interesujących; przez jego wydatniejszą książeczkę prof. Kota stanęła w pierwszym rzędzie w tej literaturze, którą dwudziestolecie Horacego wywołało także i u nas w Polsce. Jest to jednocześnie ilustracją do aforyzmu Nietzschego o filozofach, że są oni „twórcami wartości” — z rozciągnięciem go także i na poetów, o ile ci, naturalnie, są poetami o zabarwieniu filozoficznym.

II

Sądzę, że i poloniści i klasycy w naszym gronie nauczycielskim powinni być wdzięczni autorowi za jego pracę; co się tyczy specjalnie tych ostatnich, to pokrzywdziliby oni siebie samych, gdyby, traktując drugą epodę Horacego — *Beatus ille, qui procul negotii...* — w gimnazjum, nie zechcieli skorzystać z nader cennego komentarza do niej, który znajdują w studium prof. Kota. Ale to nie wszystko; sądzę dalej, że wybitna rola, którą ta epoda odegrała w rozwoju naszej literatury, powinna zwrócić na nią uwagę także i przeciętnego inteligenta w naszym społeczeństwie.

Wybornie. Przeczytają ją, przypuścimy, w jednym z polskich przekładów, których mamy sporo. Lub, lepiej, w oryginale łacińskim, który jednak z dzisiejszymi zasobami

szkolnej łaciny opanują nie bardzo łatwo. A więc, jeszcze lepiej, w wydaniu komentowanym — niemieckim Heinzege lub francuskim Villeneuve'a, skoro polskiego nie mamy. Wybornie, powtarzam; pragnąłbym jednak dodać i coś swojego do tego materiału.

Coś swojego po tylu stuleciach pracy interpretatorskiej? — No, o ile swojego, o tym niech sądzą specjaliści, jeżeli znajdują na to czas i ochotę; co do mnie, to wyrobiwszy sobie pewien pogląd syntetyczny na stosunek liryki Horacego do otaczającego go życia, mam poniekąd prawo uważać za oryginalne także i te szczegóły, które wynikają z tego poglądu.

A więc do rzeczy.

III

Zacznijmy od faktu, że Horacy był synem wsi; po ojcu odziedziczył folwarczek w Apulii, który jednak przepadł w zamęcie trzeciej wojny domowej. Młodość więc jednak pozostał na całej życie; jako taki — *ruris amator* — przeciwstawił on siebie swemu skądinąd najlepszemu przyjacielowi, Fuskowi, jako *urbis amatorowi*. Po dziesięciu bez mała latach życia miejskiego, uzyskawszy przyjaźń możnowładcy Mecenasasa, będąc członkiem jego kółka, w którym oprócz poezji i miłości — lekkomyślna miejska miłość bez jutrzejszego dnia — grała niepoślednią rolę — mógł się spodziewać, że dzięki jego hojności otrzyma inny folwark, czy to w ojczystej Apulii, czy też — jeżeli jego patron nie zechce go zanadto oddalać od siebie — w okolicach Rzymu, w górach Sabińskich. Szanse widocznie były niezłe; oczywiście „łaska

pańska na pstrym koniu jeździ”, nie należało więc być zanadto otwartym, żeby się nie narazić na upokarzającą odmowę; najlepiej więc będzie — wdziać maskę, żeby w razie potrzeby mieć możliwość rzucić swą prośbę na kogoś innego.

I Horacy przywdziewa maskę osobistości aż zanadto znanej śród utalentowanej cyganerii, garnącej się do stołu jego patrona — bankiera Alfiusza; przypuszcza, że ten, zostawszy ziemianinem, z rozkoszą oddaje się pracom wiejskim, których wymaga dana pora roku — lato, jesień, zima — tak jest, ale i miłym wywczasom w cieniu rozłożystego klonu, nad strumieniem, ukolysany szumem liści i piosenką ptaszka...

*Czy nie zapomni ten, kto tak przepędza dnię,
Miłości niepotrzebnych trosk?*
(Przekł. T. Węclewskiego).

IV

...Co znowu? Miłości? Ten lichwiarz, ślepcący nad swą księgą procentową — i miłość? Dla filologów zagadka nie tyle jaka. Ale od czegoż jest nasze panaceum, koniunktura? Wypędźmy z tekstu tę niezgodną z zawodem naszego bohatera lekkomyślną miłość, napiszmy np. zamiast *quas amor* bardziej ogólnikowe *Roma quas* — i wszystko będzie w porządku... Nie, nie przekonywa to panaceum. Bo i cóż? Dlaczego nie mógł i lichwiarz mieć swoich miłości — i, naturalnie, połączonych z nimi zmartwień? — Owszem, mógł je mieć, szczególnie jeżeli na giełdzie geszefty miały przebieg pomyślny; ale, pomimo to, to wyjście nas nie zadowala. Tak, to się robi, ale o tym się nie mówi. Nie, rozwiązanie zagadki musi być inne.

HELENA WIELOWIEYSKA

POWRÓT ODYSA

*Za górą ranny parowóz,
heksametr zaprężony w gawrony.
Krowy ryczą, drzewi skrzypia;
to poezja.*

*W dole serca — a w pętli z nieba
elegie wiosną wypuszczone z klatek.*

*Teraz wuj Odys
rozdaje dzieciom cukierki i metafory.*

*Wuju!
Facton tonie w Wiśle skrzydlate!*

CHWILA

*Golębie skrzydła niosą tęczę nad las.
Topory biją. Szept piór
serce w korze uciśa.*

*Żyto kwitnące na żyznej nowinie
przyryka oczy i las:
to szumi chmura żytniego kwiatu.*

*gorące piskłę, które kładziesz mi na wargi
Rój pszczoł, niepokój uciśa tylko jedno:
kiedy tęczę i ramiona
zarzucam nad głowę.*

*Wtedy łąka przybija do nienazwanych
gwiazd.*

Mianowicie następujące: Horacy w tym miejscu zrzuca przywdzianą maskę i występuje w własnej osobie. To on cierpi od niepotrzebnych trosk miłości, miłości miejskiej, i szuka zbaczenia w miłości innej, zdrowej, wiejskiej, prowadzącej do małżeństwa i ojcstwa. Toteż ciągnie on dalej:

*Gdy zulaszca żona wierna gospodarstwo, dom
I działkę w swej opiece ma,
Sabinka, czy przez słońca opalona skwar
Z Apulii żona, czynna uciśa.*

Ot tu występuje „sprzątna gospodyni” Kochanowskiego, która miała otrzymać takie liczne potomstwo w dalszym rozwoju naszej literatury, występuje ten „ideał ziemianki”, któremu prof. Kot poświęca cały rozdział swej książki, dając „opisanie pobożnej i statecznej żony i dobrej gospodyni”.

V

Powracamy jednak do Horacego. A więc marzył on nie tylko o folwarku, ale i o gospodyni, a więc o ożenku. „Sabinka, czy z Apulii żona” — to znaczy o folwarku albo w rodzimiej Apulii, albo w bliższych górach Sabińskich, według dylematu, który przyświecał jego duszy — czytelnik widzi, jak to się zgadza z tym, cośmy powiedzieli wyżej.

Mecenasas w sposób bardzo drastyczny pokazał mu, że wybornie zrozumiał, kto się ukrywa pod maską Alfiusza: zaprosił wyjątkowo do siebie, poczęstował go potrawą wiejską, tak mocno przyprawioną czosnkiem, że biednego gościa, w ogóle czulego na tego rodzaju wrażenia, brzuch rozolał okropnie — za co ten w żartobliwej wściekłości dziękując łaskawemu gospodarzowi, życząc mu takich samych rozkoszy kulinarnej z takimi samymi konsekwencjami kometycznymi dla jego następnej przygody miłosnej. Ale ten żart wielkopański był tylko przygrywką do prawdziwie wspaniałego aktu: spełniającego życzenie Horacego. Mecenasas podarował mu upragniony folwark — folwark w górach Sabińskich.

Tak więc na postawiony dylemat „Sabinka lub Apulijka” los stanowczo odpowiedział: Sabinka! Po zwodniczych uciechach miłości miejskiej z jej zmartwieńiami mógł i musiał nastąpić okres stałej i zdrowej miłości wiejskiej.

Nie mogę się tu o tym rozwozić; ale niech czytelnik, który może sobie uprzyśtepniać Horacego, przeczyta z tego punktu widzenia te jego ody, które on poświęcił Lidii czy Lidzie (*Lydia* czyli *Lide*); ta jest główna z tych, które były przedmiotem jego miłości miejskiej. Jeżeli on jedną

z nich (I 13), męczony zazdrością z powodu niewierności swej rzymskiej przyjaciółki, kończy rzewną zwrotką:

*Trzykroć szczęśnyj tej pary los,
Której wolał ma wciąż nierozdzielalną moc
I gdzie miłość w zamęcie zwad
Nie zagubi się wipierw, zanim nadejdzie śmierć!*
(przełk. Węlcowski) — to doprawdy trudno w tym westchnieniu nie odczuć tęsknoty właśnie za przyjaciółką wiejską, którą dłań hodowały góry Sabińskie.

I znalazł ją tam rzeczywiście — przypuszczalnie (dozwolone jest przecie w takich szczególnych uzupełnieniu wyobraźni luki tradycji) w osobie córki jednego ze swych dziewczaków, która go oczarowała swym prawie dziecięcym śmiechem i swym wesołym swięgotem i którą on wskutek tego nazwał Szczebiotką (Lalage). Przypuszczam (nówce zastrzeżenie!), że rodzice dziewczynki nie mieli przeciw wydaniu swej córki za jaśnie pana, ale ona sama się na razie wzdragala i Horacy, nie korzystając ze swej materialnej przewagi, szlachetnie odroczył swą poźdliwość (II 5). I oto na koniec upragniony dzień nastąpił, swięgot

milego ptaszka przeniósł się do dworu. Miłość wiejską odniosła tryumf; o nim miłośnik wsi napisał niezwłocznie swemu najlepszemu przyjacielowi, „miłośnikowi miasta“ Fuskowi — w swej tryumfującej odzie *Integer vitae* (I 22).

I to koniec? — Raczej początek; ale dalszy ciąg — to już życie, nie poezja. Chyba że zechcemy widzieć ten dalszy ciąg w króciutkiej odzie III 22, w której poeta poświęca Dianie pińkę naddworską — za co?

*Co w gaju władasz i na gór wzniesie,
Młocuchę wspaniałą w rodzenia godzinie...*

(przełk. Czubka) — co mi się wydaje wiele prawdopodobne.

VI

Przypadkowo dwuchtyśletni jubileusz narodzin Horacego zderzył się z obchodem stulecia śmierci pewnego poety nowoczesnego, który po części był jego naśladowcą, Aleksandra Puszkina — obchodem, w którym i Polska wzięła chlubny udział. Naśladowcą Horacego był Puszkina — nie jako pierwszy co prawda — w swej odzie *Pom-*

niki, napisanej pod widocznym i świadomym wpływem sławnego *Exegi monumentum* poety rzymskiego; w swych zeszlorocznych wykładach o Horacym, wygłoszonych w tutejszym Instytucie Francuskim, zwróciłem uwagę i na podobieństwa i na kontrast w ujęciu poezji przez obu poetów.

Tu mi chodzi o porównanie innego rodzaju.

Przed wszystkim proszę tych, którzy mogą sobie na to pozwolić, by spróbowali przestudiować lirykę miłosną Horacego pod podwójnym kątem widzenia miłości miejskiej (Lidia i inne) i miłości wiejskiej (Lalage); przekonają się, o ile owocniejsze, barwniejsze, rozsądniejsze jest takie życiowe podejście do sprawy od poglądu tych, co w wierszach erotycznych poety widzą tylko naśladowanie wzorów greckich. Naśladowanie swoją drogą; ale faktem jest i to, że poeta szukał w zdrowej miłości wiejskiej, w uśmiechu i swiergocie swej wymarzonej sabińskiej Szczebiotki ratunku od zwodniczych siódł wielkomięskich Lidij, Chloryd i innych — szukał i znalazł. W tym samym położeniu znajdował się i Puszkina. Otoczo-

ny niedzrową atmosferą życia stołecznego, dworskiego, maź nieudolny lekkomyślny Natalii wdychał do wsi z jej nie wykwinłym, ale miłym w swej prostocie życiem:

*Dwie jarzębiny przed izdebką,
Furka, popsuty stary plot...
Obraz gosposi w snach się jawi,
Miły mi pokój... Barsecz mi służy,
Starczy garnuszek —*

.... i ja sam jako pan tego dworu, muszę dopełnić niezgrabną prozą, gdyż nie mogę wziąć tu na siebie odpowiedzialności za wyborny skądinąd przełk L. Belmonta. I niech czytelnika tu nie gorszy ten „barsecz“ — ściślej: kapuśniak — o którym marzy poeta rosyjski: jest to w ogóle symbol kuchni wiejskiej, tak samo jak i proste warzywa w *Beatus ille*, za które Horacy - Alfiusz chętnie oddaje ostrzygi i inne cenne smakolki Rzymu.

Ale niestety, marzenie Puszkina pozostało marzeniem: żadna sabińska szczebiotka nie przytuliła go do siebie, nie miała siły porzucić tego „odmetu“ życia petersburskiego — aż ten odmet go całkowicie pochłonił.

TADEUSZ ZIELIŃSKI

KRZYWE ZWIERCIADŁA

„Z poematu ucieka Cyd“ — pisze w *Czytaniu nocą* Lech Piwowar. Tym Cydem, który uciekł z poniżej wymienionych książek, jest Polska. Ale ucieczka ta wygląda nieco inaczej niż w pięknym wierszu Piwowara. Polska uciekla z omawianych powieści, ponieważ nie mogła się w nich zmieścić. Warto by zastanowić się nad tym, dlaczego w powieściach o Polsce nie znajdujemy Polaki? Dlaczego dotąd — w dwadzieścia już prawie lat od odzyskania niepodległości — nie powstała epopeja, zamysłująca w mit artystyczny dzieje naszych walk o wolność?



ANDRZEJ WOLICA

Nie podobna dać odpowiedzi na te pytania w niniejszym artykule. Stwierdzić jednak należy fakt niewątpliwy, że dotąd jeszcze Polskę w nas raczej odczuwa się jako pewien stan liryczny, niż widzi się ją jako kształt realny. Polska mityczna, Polska idealna waży w sercach i umysłach wielu więcej niż konkretne państwo polskie. Ow idealizm („Serce? — A to Polska właśnie!”), który zrodziły anomalnie bezpaństwowego bytu narodu w okresie niewoli i mglisty, nieodpowiedzialny mistycyzm romantycznego mesjanizmu, owe czysto emocjonalne złudzenia budzą niestety silniejszy oddźwięk w psychice normalnego Polaka, niż dyrektywy realnej polskiej rzeczywistości.

Tu już należy przystąpić do właściwego tematu i stwierdzić, że mimo wielkich różnic między nimi powieści Zahorskiej i Wolicy wyrażają właśnie z tego psychicznego nastawienia wobec polskiej rzeczywistości, z tego samego zamiaru konfrontowania Polski realnej z Polską idealną. Ze względu na to, że w *Ulicy Ogrodowej* owa konfrontacja jest robiona bardziej po prostu, bardziej *ad oculos* — zajmijmy się najpierw tą książką.

Powieść Wolicy jest inspirowana przez poczucie „społecznego obowiązku“ artysty, a pisana jest według recepty Żeromskiego: „Trzeba rozdrapać polskie rany, żeby nie zarosły błoną podłości“. I przynajmniej trzeba, że Wolica potrafi gromadzić fakty posiadające nader silną wymowę, potrafi być

w tym „rozdrapywaniu ran“ bezlitosny. Ale jest on zawsze tylko reportażystą krzywdy i bólu, nigdy nie potrafi zaplanować nad swymi obserwacjami, uczynić je posłusznym tworzywem artysty. To one właśnie panują nad nim i dlatego autor nie pisze właściwie powieści, ale do zaobserwowanych zdarzeń dodaje tylko komentarze. Czy jednak można tu użyć chłodnego, rzeczowego terminu „komentarz“? Chyba że komentarzem nazwiemy także („komentarzem uczuciowym“ — ?) patetyczny krzyk bólu, gniewu, nienawiści, jakim raz po raz rozbrzmiewają karty *Ulicy Ogrodowej*. Ale „tam, gdzie jest krzyk, tam kończy się człowiek, tam nie ma się już nie do powiedzenia, tam woła się już tylko: „ratunku!“ (Skiwiski).

Książka Wolicy powstała w kręgu czarów Żeromskiego, a chociaż autor starał się teoretycznie przeciwstawić mistrzowi, to jednak w praktyce poszedł za nim, kopiując np. w losach Magdy i Romana losy Joasi i Judyma. Co jednak najsilniej wiąże Wolicy z Żeromskim — to jego styl, ów styl potocznej mowy inteligentkiej, który tak trafnie charakteryzuje Skiwski: „Styl ten kpi placzliwie i plącze kłując... Siłą tego stylu jest żalność — zmysłowa, zapamiętała, fanatyczna“. Ów żywioł żalności, który u Żeromskiego jako tako opanowywał instynkt piarski pierwszorzędowego talentu, wzbudził u Wolicy istną orgią zrozpaczonej desperacji i rozbechanego sentymentalizmu.

Nie udaje się autorowi żadna próba stworzenia jakiegokolwiek pozytywnego ideału, który można by przeciwstawić ponurej rzeczywistości. Snują się po powieści jakies wspomnienia „szklanych domów“, Polski — Nowej Jerolimy, marzonej kiedyś przez kuratora Chmielewskiego, placze się jak Marek po piekle rewolucjonista Roman Chmielewski, ale z tego wszystkiego nie konkretnego nie da się wyzystać, a zakończenie powieści skłania nas do przypuszczenia, że jedynym odpowiadającym autorowi wyznaniem wiary powinno być anarchistyczne hasło: niech żyje dynamit! Problematyka polskiej rzeczywistości uciekla z powieści, zostało w niej kilka okazów sadyzmu, paru zbłąkanych Don Kichotów (Chmielewscy, Irka) i wreszcie cały tłum skrzywdzonych. Autor, sprowadzając sprawę do tego, że człowiek jest zasadniczo kanalią, skrzywił koncepcję powieści: zamiast sądu nad dniami dzisiejszym, pokazał nam właściwie Obemmergau inteligentkiej psychiki.

Powieść Zahorskiej zrobiona jest o wiele solidniej. Można by nawet powiedzieć, że mimo swoich wad powieść Wolicy jest jakby „cieplejsza“, bliższa nam, — że Zahorska zbyt lubuje się w demonstrowaniu rozmaitych chytrych sposobów i sposobików, obliczonych na zaimponowanie „maluczkim“. Kapitalnym przykładem takiego popisania się znajomością nader przemyślnych „chwytów“ jest np. fragment, poświęcony opisowi szerek Jana. Przypadek jednak trzeba, że Zahorska ma i większe ambicje i lepsze opanowanie rzemiosła piarskiego niż Wolica. *Korzenie* mają odsłonić czytelnikowi „te prawdziwe“ korzenie naszej obecnej rzeczywistości. Powieść ta, będąca pierwszą częścią cyklu zatyulowanego *Ziemia Kalkista*, poświęcona jest przekrojowi społeczeństwa polskiego w przeddzień wojny. Jak widzimy: pomysły były nader ambitny i plan dzieła rozbudowany solidnie. To jednak, co dała Zahorska w pierwszym tomie swego cyklu, każę oczeki-



STEFANIA ZAHORSKA

wać dalszych jego części raczej z niepokojem niż z niecierpliwością.

Metoda piarska Zahorskiej jest zastosowaniem w praktyce postulatu, jaki Brzozowski postawił krytykom: aby przez analizę psychiki autora, ujawniającej się przez dzieło, docierali do jej determinant społecznych. Zahorska stosuje tę metodę do bohaterów powieści i to właśnie staje się jedną z przyczyn jej niepowodzenia. Rzecz Zahorskiej pomyslna była jako epos, ale epickość planu kłóci się z nadmiarem psychologizowania, w jakie zabudowała autorka Zahorska nie potrafi budować typów, kiedy usiłuje wybrnąć z nadmiaru ciekawostek psychologicznych, składających się na sylwetki duchowe Jana i Anny, i zamiast (wnikliwych zresztą) analiz charakterologicznych dać postaci bardziej jednoznaczne, Mariana i Wiesława — brnie w straszliwy banal „ideologiczny“ rozmów.

Nie czując zupełnie patosu momentu historycznego, rozdrabnia go na momentyki jednostkowych stanów duchowych i nie potrafi zorganizować wizji nadrzędnej, prawdziwie epickiej, której podporządkowane muszą być wszystkie poszczególne fragmenty. Powieść jej jest kilkupłaszczyznowa: odnajdujemy w niej satyrę na ziemiaństwo, powieść społeczną (kwestia asymilacji), powieść psychologiczną (dzieje miłości Anny i Jana), próbę — zupełnie nieudaną — powieści ideologicznej (fragmenty wiążące się ze „Strzeleem“ i walką o niepodległość) — ale tym wszystkim składnikom dzieła brak wewnętrznej spójności.

Autorka chciała skonfrontować rzeczywistość Polski — realną i idealną — nie wprost, lecz przez ujawnienie determinant społecznych, które naszą rzeczywistość u czyniły właśnie taką a nie inną. Nie potrafiła się zdobyć jednak na epicką bezinteresowność oglądu i jednolitość postawy wewnętrznej wobec opisywanych zdarzeń i problemów.

Książka Czernika różni się zasadniczo od obu wyżej omawianych. Włączyłem ją jednak do owej trójki ze względu na to, że zarysowała się w niej — zresztą bardzo mgliście — taka właśnie postawa artystyczna

wobec problemu artystycznego traktowania Polski i walki o nią, jaka wydaje mi się najwłaściwsza. Czernik nie ma żadnych pomysłów konfrontacyjnych czy ten ambicji badawczych. Polska dla niego po prostu jest, a jeśli nie istnieje ona jeszcze jako państwo, to trzeba ją wywalczyć. Stosunek do prawdziwej rzeczywistości, pozabawiony blagi i patosu, stosunek najmocniej, najkonsekwentniej *obywatelski*. „A coś mi się demokracja, a coś mi są chłopcy — a coś hrabskie korony i mitry książęce? — I Marxa i hrabiego Zygmunta poświęcę — za wolny głos Ojczyzny na sejmie Europy“ (Lechoń).

Czernik popełnił jednak błąd nadmiernej poetyzacji i zbyt skorego mitologizowania. Na marginesie epopei legionowej napisał na smutną balladę o losach Michała Gorycza, nad którą Polska unosi się gdzieś w obłokach mitu. Nie można mieć o to zbyt wielkiej pretensji do Czernika: *spiritus flat ubi vult*, podkreślić jednak trzeba, że imiona Polski i Komendanta są w jego książce poniekąd „brane nadaremno“, mają one tylko nadawać powieści posmak „au-



STANISŁAW CZERNIK

tentyzmu“, o który tak autorowi chodzi. W każdym bądź razie przynajmniej trzeba, że poeta lepiej zorientował się w obszarze właściwej drogi niż powieściopisarze. Książka jego posiada urok niewątpliwej poetyczności, nie brnie ponadto w liryzm, ale nie sięga także do wyżyn epopei — pozostaje sobą: smutną żołnierską balladą.

W żadnej z trzech omawianych w tym artykule książek nie widzimy zapowiedzi na epopeję Nowej Polski, na epopeję naszej państwowości. Najsolidniej postawiła sprawę Zahorska, ale koncepcję jej skrzywiły ambicje psychologizacyjne i pogoń za czysto zewnętrznymi walorami, niepotrzebne silenie się na pobicie rekordu „nowoczesności“, pojmanowienie wyłącznie z punktu widzenia techniki powieściowej. W każdym bądź razie dała ona coś więcej niż przeliryzowaną historię Michała Gorycza czy trzecią wodę po Żeromskim, jaką uraczył nas Wolica. Ale Polski — tej żywej, realnej, w którą wrastamy coraz mocniej każdym dniem naszego powszedniego życia i powszedniego trudu — nie pokazała nam i ona. Bo i ona kazala nam oglądać Polskę w krzywym lustrze doktryny.

STEFAN LICHANSKI

¹ ANDRZEJ WOLICA: *Ulica Ogrodowa*, powieść. Warszawa, F. Hoiesick, 1938. — STEFANIA ZAHORSKA: *Korzenie*, powieść. Gebethner i Wolff, 1938. — STANISŁAW CZERNIK: *Gorycz*, powieść. Warszawa, F. Hoiesick, 1938.

MADRYT KRÓLEWSKI

W latach, kiedy wojna światowa przytrzymywała mnie w Hiszpanii nie dającymi się przebiec frontami armii, prowadziłem, rzecz jasna, liczne rozmowy o Madrycie. Prowadziłem je w kołach Polaków, prowadziłem je w kołach Hiszpanów, prowadziłem je także z Austriakami i Francuzami. O najważniejszym mieście zapirenejskich ziem powiedział się wtedy niejedną rzecz ciekawą; niechże więc owe rozmowy pojawią się tu w wybranych skrawkach.

O charakterze miasta

Mówią mi: Madryt nie ma charakteru. Mówię ja: Niby dlaczego? Dlatego że jego architektura nie ma odrębności hiszpańskich? Chcielibyście, aby domy i gmachy w Madrycie wyglądały inaczej niż w Paryżu lub Mediolanie, prawda? Ale wymagania wasze może być słuszne jedynie z zastrzeżeniem, którego wy nie robicie: że odrębności stworzone przez Madryt byłyby w zestawieniu z tym, co ukazuje Paryż lub Mediolan, udoskonaleniem. Budował się w Madrycie za naszego tu pobytu wielki gmach pocztowy. Po ciemnym i ciasnym budynku na calle Carretas miała powstać budowla monumentalna, niemal dokument kamienny Alfonsa XIII. Ileż wieści krążyło dokola tej budowy! Przecie opowiadano sobie, że otwarcie gmachu nie nastąpi przed końcem wojny światowej i że król ma zamiar ofiarować go na obrady przyszłego kongresu pokojowego. Chciano tym gmachem wprowadzić Hiszpanię w najnowszą historię świata. W końcu zdjęto rusztowanie i co? Parsnęliśmy śmiechem. Niewątpliwie miłośnicy przed sobą gmach „swoisty”, tj. dowolną mieszaninę złożoną z tego wszystkiego, co już gdzie indziej zrobiono, a ukostiumowaną w odrębności jakby mauretańskiej. Te baszty które nie są basztami, te wieże które nie są wieżami. I te okna, które istnieją dla oczu z zewnątrz, a nie dla oczu z wewnątrz! A przecie dla zadań, jakie narzucają funkcje gmachu pocztowego, należało znaleźć rozwiązanie doskonalsze od znalezionych już przez inne kraje i przez ten wyższy stopień udoskonalenia form powszechnie szukanych uzyskać swoją odrębność. Tak uzyskana odrębność jest powiększeniem posiadanych już wartości, jest cennym wkładem w dorobek światowy.

Mówią mi: Ale chodzi nie tylko o architekturę, o wygląd tego domu czy tamtego gmachu. Chodzi o całość miasta. Ta całość pozabawiona jest w Madrycie własnych znaków.

Mówię ja: Ale znowu z zastrzeżeniem, jakiego wy nie robicie. Bo ja zarzucam Madrytowi, że nie wniósł żadnej idei urbanistycznej. Paryż, Kraków, Berlin — każde z tych miast realizowało jakąś ideę miasta; Madryt nie realizował jej, bo jej nie miał.

Mówią mi: Tak, ale nam chodzi o rzecz innego rzędu. Może nieściego. Nam chodzi o popolity obraz miasta, taki jaki pada na siatkówkę spieszącego się turysty. Tak oglądany, nie ma Madryt charakteru.

Mówię ja: Zdaje mi się że dzieje Madrytu można ująć jako gwałtowne stwarzanie charakteru, a potem gwałtowne niszczenie go. Gdyby Madryt zachował ślady owej epoki, kiedy to jako Maguerit był tylko fortecą broniącą dworu mauretańskiego w Toledo, owej epoki kiedy to opasywały go mury zbudowane na sposób emuzlmański, a zamakające w sobie mocny alcazar i wyniosły meczet, gdyby zachował z owej epoki kilka choćby monumentów — na pewno miałby dzisiaj dużo charakteru. Lecz po zdobyciu Maguerit przez Kastylię zaczęło się gwałtowne niszczenie dawnego charakteru miasta i gwałtowne budowanie nowego, bo katolicy królowie Kastylii dążyli do radykalnego usuwania śladów panowania wrogów — innowierców i do jak najżybszego stwarzania jak najliczniejszych baz katolicyzmu. Meczet zamienili w monasterio, a jego przerworowi oddali prawo decydowania o każdej budowli, jaka miała w mieście powstać. Wśród licznych wznoszących kościołów zakładał klasztory tak rozległe, że ich zabudowania i ogromne ogrody zajęły większość terytorium miejskiego. Wytworzył się nowy charakter miasta. Katolicy. Zdecydowany. Mocny. Podkreślały go jeszcze budowle świeckie. Już to, że zakazy królewskie nie pozwalały na umieszczanie okien w ścianach wychodzących na ogrody klasztorne, wywierało piętno na ówczesnych budowlach. Do tego przybyły jeszcze następstwa czynników społecznych: danina, pobierana na rzecz personelu pałacowego, obłożono domy wyższe od parterowych, co sprawiło że

mieszkańcy Madrytu, pragnąc uchylić się od tej daniny, budowali domy tylko parterowe. Te tzw. domy złośliwe stanowiły przez długi czas typ niziutkiego domu madryckiego. Z serii zarządzeń, pochodzących z epoki królów kastylijskich, wytworzył się więc obraz miasta o niezaprzeczalnej sile charakteru. Charakter ten trwał kilka stuleci. Ale i on przepada. I też pod wpływem ciósów gwałtownych. Dzieje się to w epoce rewolucji francuskiej. Brat Napoleona, Józef, osiadłszy na tronie hiszpańskim, zmienia oblicze stolicy, burząc klasztory rękoma francuskich żołnierzy. Podobnymi ideami, co on, kieruje się później hiszpański rząd liberalny, gdy pozostałe klasztory opróżnia i przeznacza na potrzeby rządu i ludności. W następstwie tego demolowania i tej dewastacji powstały w Madrycie nowe place i ulice, a nawet niejedna dzielnica istnieje dzisiaj na terenach, zajmowanych poprzednio przez klasztory. Wytworzył się nowy Madryt. Wytworzył się z gwałtownego niszczenia charakteru poprzednika. Dostał się Hiszpanii niemal z rąk francuskich. To chyba wiele tłumaczy. Jak zresztą cała linia dziejów tego miasta. Przecie ta linia pozwala na wrożyb przyszłości. Może wolno się domyślać, że Madryt czeka jeszcze na jakieś wielkie niszczenie i wielkie budowanie.

Stolica lęku

Mówią mi: Ale to właśnie, że ślady tamtych bardzo hiszpańskich epok nie zachowały się w Madrycie wcale, to jest znamienne.

Mówię ja: Nie wolno zapominać, że Madryt nie mógł wytworzyć w sobie ambieji historyczności. Późno stał się stolicą. Stał się nią dopiero w r. 1563, gdy przeniósł ją tu z Toledo Filip II. Czy zastanawialiście się kiedy nad przyczyną tego przeniesienia? Zrozumiałe jest przeniesienie stolicy z Krakowa do Warszawy, dokonane w tym samym czasie i może za przykładem władcy hiszpańskiego. Ale różnica położenia geograficznego między Madrytem a Toledem jest tak nieznaczna, że wyklucza z rozumowania względy geograficzne. Nie przemawia mi do przekonania twierdzenie, że Madryt przeznaczono na stolicę olbrzymiego spadku po Karolu V, że Filip II, w którego światowym imperium nie zachodziło słońce, nie mógł zadowolić się dawną stolicą, położoną na ciastym wzgórzu nad zieleziemi rzeki Tajo. Wychuwam, że Filip II uciekał z Toledo, bo wielowieczne dzieje tego miasta, które było niegdyś stolicą potężnych Gotów, a potem mieściło w sobie dwóch potężnych Maurów, mówiło donośnie o przemijaniu wielkości i mocy. Warto zwrócić uwagę, że w tym samym roku, w którym Filip II przenosi stolicę do Madrytu, czyny też pierwsze uderzenie łopata w grzyby ziemi, na których stanie w przyszłości jego uniolowany pałac w Escorialu, otoczony czystym pustkowiem, więc najczystszy bezhistoryczności. Taką miała być siedziba tego władcy. Wszystko wskazuje na to, że Filip II — niepokojony myślami o przemijaniu potęgi — chciał mieć stolicę bez wielkiej przeszłości. Madryt jest stolicą lęku.

Słyszę: Ciekawe i może słuszne.

Dorzucam: I stolicą lęku pozostał. Pozostał nią aż do Alfonsa XIII. Król ten, patrzając z okien pałacu na białe posągi swych poprzedników, ustawione na Plaza de Oriente, daremnie zatrzymuje oczy na wznoszącej się w środku górze, w której Filip IV pyszni się nie tylko swą brawurą poza władczego jeźdźca, ale i reliefem przedstawiającym wręczanie orderu wielkiemu artyście Velasquezowi. Świetność, reprezentowana przez tych dwóch ludzi a ustępująca miejsca w dalszym ciągu dziejów stopniowemu upadkowi, może budzić tylko lęk.

Miasto o które nikt się nie troszczył

Mówią mi: Jeśli Madryt jest taki jaki jest, wpłynął na to stosunek jego ludności do niego. Nie widać na nim wcale trosk arystokracji w epoce, w której stolicę innych krajów tyle z jej rąk i jej smaku brały. A w czasach późniejszych też się o nie nie troszczą ci, którzy powinni się o nie troszczyć. Republikanie twierdzą, że rada miejska Madrytu Alfonsa XIII nie spełnia wobec miasta swych obowiązków, bo składa się z ludzi nieuczciwych. Rady krządą. Jeśli kto wchodzi do rady miejskiej, to nie po co innego, tylko by kraść. Ludzie humoru twierdzą, że jeśli w wyborach obywatel madrycki głosi na jakiegoś kandydata, to nie dlatego, że uważa go za uczciwszego od

innych, lecz że ma dla niego więcej sympatii i woli, aby krął on a nie kto inny. To są przyczyny, dla których Madryt Alfonsa XIII tak właśnie wygląda jak wygląda.

Szepecz: Może.

O brudzie

Napierają na mnie: Ale że Madryt jest brudny, to Pan przyzna. Wzięć Plaza del Rastro i okolicę. To targowisko starzynny i tandety, pono jedno z największych na świecie, wyrzucające czasem ze swych kotłujących się fal klejnoty wysokiej wartości, leży w otoczeniu ulic, których brud jest równie krzykliwy, jak życie które je rozsadza.

Próbuję tak: A jednak w tej właśnie dzielnicy znajduje się calle de Embajadores z fabryką tytoniu, w której pracują cigaryery, siostry czy wauceki owej Carmen, sławnej z urody i kolorów. Jeśli szukacie charakteru, to tu go macie. Ulica miast południowych jest rozszerzeniem mieszkańia: przypomniecie sobie te krzesła, ławki, podnoźniki, wystawiane przed bramy domów i drzwi sklepów, i te na nich postacie w niepełnym ubraniu. I dzieci na trotuarach, w rynsztokach i na jezdniach. Razem stwarza to źródlika brudu.

Mówią mi: To nie tylko południowość. Klimat Madrytu nie jest wcale typowo południowy. Aby zdać sobie sprawę, wystarczy przeczytać Bedekera. Miasto leży wysoko i u stóp pasma górskiego, które sprowadza na nie w zimie powietrze mroźne i deszczowe, a w lecie zagradza drogę wilgotnemu wiatrowi. Przecie istnieje przysłowie: *nueve meses de invierno, tres de infierno* — dziewięć miesięcy zimy, trzy miesiące piekła. I odbija się to na życiu mieszkańców; wśród znanych mi mam jednego, który miesiącami zażywa chininę — tak bardzo nekają go katar. O dziwactwach klimatu madryckiego dobrze mówi owo dowcipne przysłowie: *hasta el cuarenta de mayo no te quites el sayo* — nie zdejmuj płaszcza aż do... czterdziestego maja. Dlatego też nierzadko w pełnym lecie widzimy Hiszpanów w ich pelerynach czy togach, zarzuconych na barki tak skrupulatnie żeby im okrywały aż usta. A w zimie! Podobno wśród żołnierzy, pełniących straż na północnym boku pałacu Alfonsa XIII, zanotowano kilka wypadków śmierci z przemarznięcia.

Zaczynam od żartu: Stanowczo o taki klimat powinni republikanie oskarżyć Alfonsa XIII lub może w ogóle monarchię. Ale republikanie republikanizm, trzeba rzeczy widzieć jasno. Jeśli żołnierz pod pałacem przemarzł na śmierć, to chyba dlatego, że był nieodpowiednio odziany. Dlaczego był nieodpowiednio odziany? Bo był okryty nieodpowiednią — ideą! Tak jest: jego uniform nie był wyprawdzony z danych klimatu madryckiego, lecz z idei o południowości Hiszpanii. Tak sama wnetrza mieszkań madryckich, wykładane kafłą kamienną, a ogrzewane w zimie węglem drzewnym umieszczonym w misach, nie pochodzą z uwzględnienia rzeczywistych temperatur miasta, lecz ze ślepego przyjmowania tego, co stworzono gdzie indziej, dla ziem o klimacie naprawdę południowym. Jest to jeden z tych wypadków, w których czynnik fizyczny okazuje się słabszym od czynnika ideowego, przy czym w tym wypadku stosunek ten wcale nie może być uważany za dodatni.

Napierają na mnie: Więc jednak, skoro klimat madrycki nie jest *par excellence* południowy, to brud madrycki nie da się z niego całkowicie wyprowadzić.

Mówię ja: Są inne jeszcze przyczyny. W ogóle odmienny stosunek do brudu, stosunek, w którym też można odróżnić wyraźne składniki ideowe. Tak jest, tak jest. O pewnym muzyku hiszpańskim opowiadał mi dyrygent opery królewskiej, że żonę swą nie pozwalał się kapać. W innych dziedzinach życia madryckiego napotkać można na podobne przekonania i przesady. Nie tak dawno jeszcze chadzały swobodnie ulicami Madrytu „świnie św. Antoniego”, które cieszyły się szczególnymi przywilejami i mogły dowolnie szukać pożywienia wśród odpadków i śmieci miejskich. Podobno jeszcze zeszłego stulecia wystarczało krzyknąć „woda”, aby móc wyrzucić z okna to co najprzekrzesz nie tylko dla wężu. Wcale nie był wolny od niebezpieczeństw, kto jechał wrotnym powozem, bo brudy, które wpały w rynsztoki, docierały odpryskami aż do wnętrza powozów. Wizerunki galantów i galantek, podjęte przez literaturę i legendę, nie podają wprawdzie tych przykrych chwili ich życia, niemniej fakty są znane.

I wiążą się z analogicznymi faktami czasów późniejszych. W tym wszystkim przejawia się szczególnie stosunek do...

Przerywają mi: Czy tylko do brudu? Naszym zdaniem, przejawia się w tym indywidualistycznym...

Teraz ja przerywam: „indywidualistyczny temperament Hiszpanów”? Słyszałem już o nim nieraz. Nie zgadzam się. To słowo nie ujmuję rzeczy. Raczej mówilibym o braku cywilizacji.

Nędza

Pytanie zagniewane: więc Madryt jako...? Mówię ja: Także jako przejaw nędzy. Nędza malowała ściany wielu dzielnic madryckich. I nędza, jak przeraźliwy potwór czolgający się po ziemi, zasłała ulice madryckie. Na pewno w noc zimowe widzieliście legowiska uliczne nędzarzy, te kawalerie gazet układane na kamiennych trotuarowych i te na nich ciała leżące pokotem. I chyba nie widzieliście tego nigdzie na świecie. Gdyby tak Hiszpanię zestawić z jej sąsiadką Francją! Zestawienie wypadłoby ponuro. Już nie tylko nędza, ale ubóstwo jest w obu krajach zgola do siebie nie podobne. Paryski robotnik murarski spędza przerwę obiadową w pobliskim „bistro”, gdzie wygodnie zasiada za stołem, na który przynoszą mu zamówione potrawy, a jest wśród nich i mięso i ser i deser i czarna kawa z kieliszką wódki i oczywiście pół litra czerwonego wina. W Madrycie robotnik murarski je obiad siedząc na ziemi w cieniu drzewa lub muru; wyrzuca jedzenie z koszyka lub torby, w których mu je przyniosła żona, obok niego na ziemi siedząca. Trochę jak w Krakowie. Różnica jest w każdym razie ta, że w Madrycie żona przynosi zamiast ziemniaków garbanzo, zamiast jabłek melon, a zamiast wódki tanie wino. Zresztą młodego robotnika spod Krakowa przypomina też w dzielnicy Cuatro Caminos gatunek złośliwych uwag, którymi młodzi proletariusze rzucają w to w lepszy ubranego przechodnia; jest w tych lotnych satyrah ta sama szybkość obserwacji i słowa i ten sam kwas. Ale to już nie należy do rzeczy. Trzeba jednak zaznaczyć, że nędza hiszpańska jest o wiele straszniejsza od polskiej.

Ton niechętnego odparcia: Stanowczo Pański obraz Madrytu jest jednostronny. Nie można tego całego miasta sprowadzać do obrazu nędzy czy choćby ubóstwa. Jest przecie dzielnica Salamanca — najlepsze wspaniałe, eleganckie, dyskretnie, ciska, piękne domy, rozłożyste bramy, westybule wyłożone grubymi dywanami i zastawione zieleziemi oleandrow. Niektóre z tych domów, nowe zupełnie, błyszczą jak bombonierki. Są tak świeże, że — jak się wyraził pewien humanista — drzewo z którego są zrobione pięknie jeszcze przy pierwszych podmuchach wiosny, zaczynają w nim krążyć rozkoszne soki, a lokatora opada strach, że wkrótce drzwi pokryją się liśmi. A prócz tej dzielnicy jest jeszcze Paseo de la Castellana, gdzie w wystawnych powozach ukazują się postacie, które mają wszystkie powody po temu aby życie uważać za bogactwo i piękno, i gdzie alejami pieszych przechadza się panie i panowie, których stopień szczęścia jest o kilka stopni niższy niż owych władców jezdni, ale i tak godny zazdrości. Jest jeszcze dzielnica Prosperidad i Guindalera z ich zamilowaniem do ogrodów i ogródków, z ich pociągami do rzeczy prostych, domowych, prowincjonalnych. Jest Puerta del Sol i calle Alcala z ich życiem wielkomięskim, ruchliwym, zachłannym i wynoszącym z odmetów ubóstwa zdobywcę złota i dobroty.

Ja: Jest jeszcze król, który czasem bardzo demokratycznie pojawia się w tłumie, a jeśli nie pojawia się sam, to wysła na teren zabaw swe dzieci, aby pod opieką demokratycznie uśmiechniętej matki zasiady na huśtawce, gdzie je pośpiesznie sfortografuje reporter rojalistycznego pisma.

W tych skrawkach rozmów sprzed lat dwudziestu zawarłem sprawy, które nie zaspokoją może zadyszanych poszukiwaczy wrażeń podróżniczych. Zaślinieni odbiorcy egzotyki odejdą od moich rozmów nienasyconymi. Nie mówiłem o Madrycie, jakby leżał za oceanami, nie opisywałem jego mieszkańców ze szczególnym uwzględnieniem barwy ich skóry, tak jakby trzeba było odgadnąć myśl, że na Puerta del Sol lub na calle Alcala trzęca nas mogą lokami czerwonooskórce. Wybrałem sprawy ogólniejsze, ale tkwiące w tych warstwach rzeczy, które wysyłają swe zawartości w każdą aktualność.

TADEUSZ PEIPER

NOTATKI Z KRZEMIENCA

2.VIII.37. Z tego ułamka skarpy, podpierającej ongi zamek krzemieniecki, jest najosobliwszy pejzaż, jaki mi się kiedykolwiek trafiło spotkać. Nie podobna sobie po prostu zdać sprawy z proporcji tych sepek małych domków, z których się składa miasteczko, w stosunku do ogromu gmachów licealnych. Małe, białe i kremowe pudeleczka, nakryte kolorowymi daskami srebrno-niebieskimi i pomarańczowymi. Nasypiane to biedactwo jak orzechy w misce, a miska jest głęboka i gorąco zielona. Jej brzegi — to góry: zielone, lesiste, ciężkie od zieleni.

Jakie to słońce tutaj jest oślepiające! W tej chwili spłynął z niego kłębiasty obłok perłowy i w oka mgnieniu cały pejzaż się odmienił. Blask biały i złotawy położył się na wszystkie dachy i zielenie, ostry, ośniewiający i razem z fioletowo-granatowymi, ciężkimi cieniami posiekał całą dolinę w jakąś wymyślną układankę z drobnych bryłek. Tylko dach licealny — ogromny, czerwony — wchłonął całe światło bez śladu i spiętrzył się nad olbrzymimi przestrzeniami jasnych, białozłotawych ścian, aż w rozświetlone tym niemilosiernym blaskiem, niebieskawe, najodleglejsze góry na horyzoncie. Niebo, białawe na skraju, nad moją głową jest mocno szafirowe.

Czasami któryś z tych ślicznych perłowych obłoków przysłania na chwilę słońce i wtedy na wzorzystym dywanie pejzażu kładzie się cień, plama kamiennie-szarej barwy, i przesuwają się wolniutko, płynnie. Wtedy mimo woli skupia się uwagę na zaciętej przestrzeni i dostrzega się z niesłychaną dokładnością tysiące drobnych szczegółów: koronkowe arabskie drzewek, rozszanych pojedynczo między domkami, fikusy w drewnianych doniczkach na gankach, ludzi na ulicach i w oknach i ten zabawy korowód wozów jadących i koni prowadzonych do studni do wodopoju. Bo tuż u stóp góry jest takie miejsce, gdzie są źródła, i tam jest szereg studni rzędem, jak korale na nitkę drożyny nanizanych. Kontrast tych drobniawych spostrzeżeń z ogromem owego po królewsku wspaniałego pejzażu jest niezwykły. Mam takie uczucie, jakby ten pejzaż był jakimś żywym, samodzielnym istnieniem, a ja tkwią w samym jego sercu.

Nie wyobrażam sobie żeby można było coś takiego namalować, ale w szare bezeloneczne dni kiedyś dawniej lubiłam rysować właśnie z tego miejsca. Teraz chcę rysować całkiem inaczej. W ogóle nie lubię swego rysowania i głowię się nad tym, co w tym trzeba zrewidować.

17.VIII. Rysowałam dziś uliczkę Miodową. Jest bardzo ładna. Wszystko tu jest białoniebieskie: i niebo, i domy, i kamienie, i tylko dachy jasno-oranżowe i wiśniowe, ale jakby przetarte po wierzchu białoniebieskawym blaskiem. A wszystko pokreślone w jakiejś wymyślnej krzywej linii, zbiegające się w jednym punkcie jak w gwiazdę.

Natknęłam się przy tej robocie na nową trudność. Okazuje się, że w rysunku — tak samo jak w malarstwie — nie cierpię konturu, niezgo on dla mnie nie wyraża, jest jakimś półśrodkiem. Trudno mi wytłumaczyć to słowami, ale np. drzewa najłatwiej mi jest wyrazić odpowiednio wyszukany rytmicznym układem kresek, teren równie najwygodniej mi wyprowadzić kreską, natomiast formę architektoniczną muszę narzucić lekko, za pomocą miękkich plam, markujących nieledwie zacięzione miejsca, konturów zatartych prawie nieuchwytnie, aż do zupełnego niemal rozplywania się w tle, tak aby sprawiało wrażenie, jakbym formę lepila z miękkiej gliny. Jeśli to uzyskam, wtedy będzie właśnie tak jak ja widzę.

18.VIII. Dziś rano była okropna ulewa, zbudziłam się o 5-tej, lato nieprawdopodobnie. Nigdy w dużym mieście nie odczuwa się deszczu tak jak na prowincji — zwłaszcza tu, w Krzemieńcu, gdzie mieszka się wprost w pejzażu. Wydaje się, że wcale nie ma dachu nad głową, że deszcz spływa strugami przez pokój. Pościel jest przesycona wilgocią, powietrze jest mokre. Gładkie bielone ściany są sine z zimna. Hałas wody spływającej z rynien w beczki jest zupełnie nie do zniesienia. Można oszałeć.

Więc dziś, przy tym deszczu beznadziejnym, po raz pierwszy tego lata malowałam. W domu z okna malowałam owe drzewka w sadzie. Przylapałam się przy pracy na czymś, co mnie zmartwiło. Oto z powodu nieczęsto malowania przywykłam do przeżywania tematu w myśleniu, które bardzo często jest jedyną formą realizacji, ja-

ka mi z konieczności zostaje. Okazało się więc, ile muszę zużyć ogromnego wysiłku woli, by się zmusić do konkretyzacji *przemyslanego* w malarstwo, ścisłej mówiąc: do realizacji we właściwym materiale. Bo doszłam już do nawyku zadowalania się myśleniem i w rezultacie robi się coś takiego, jakbym pisać polykała słowa. Jedne zestawienia notuję, drugie nie, i potem wszystko jest bez sensu.

Po południu się pięknie wypogodziło, więc poszłam rysować do Zołob. Śliczny jest taki wymyty świat po deszczu.

Znalazłam w Zołobach miejsce urocze, nawet właściwie łatwe i efektowne jako temat, ale tak czarodziejstwo wdzięczne, jak rozkokietowana młoda przesłiczna dziewczyna. Te cerkiewki, drzewa i drzewka, góry w dali, i lasy i pola w kratkę, i słońce przed zachodem skryte za chmurą, i spod niej pęki promieni złożonych z rozdygotanego w powietrzu pyłu złotego. No, zupełnie romantyczna przygoda! Plastycznie temat bardziej na grafikę niż na malarstwo, nawet typowo graficzny — coś dla drzeworytnika chyba.

23.VIII. — — — Wciąż mam kłopoty z rysowaniem. To wszystko co robię to jeszcze nie to o co mi chodzi. Wiem że nie można tak rysować, ale wciąż nie wiem, jak trzeba by było dobrze, by było to co widzę. Aby to była najlepiej, najprościej wyrażona konstrukcja form, i kontrasty form, i aby wszystko razem stworzyło harmonijne, konsekwentne zakomponowanie płaszczyzny. — — — Po południu rysowałam znowu swoją uroczą uliczkę Miodową. Tuż obok opracowywanego miejsca znajduje się domek malutki, który ma dla mnie specjalny czar. Jakaś maleńka szklana klatka z obramieniami okien w guście rosyjskim, połączona z gankiem i schodkami. Na barierze ganku stoi na przybitej desce i świeci na całą ulicę — złocisty, lśniący samowar. Czego tam nie ma! Sztyl kolorowy, przywieszony do bariery, w otwartych oknach szklanej klatki widać wiszącą lampę naftową. Pod białą umbrą świeci żółty tak samo jak samowar pajak lampy. Żydówki w jaskrawych kolorowych swetrach zalegają dosłownie zgiełkowym tłumem malutki ganeczki.

Taka mi się na ten temat majaczy koncepcja: różowe, czerwone, fioletowe — zielone, żółte, jedna plama szafirowa mocna w walozie. Akordy kolorowe na dysonansach, ostre, drażniące. Format poprzeczny dość długi. Kompozycja ta musi się układać w kierunkach poziomych, przecinanych krótkimi pionami. Dużo urwanych, krótkich krzywych.

Zauważyłam, że po każdym okresie forsownego rysowania mam pewne duże ułatwienia w malarstwie. Po prostu dzięki rysowaniu mam takie uczucie, jakbym dotknęła każdej formy, obmacała ją rękami, i dzięki temu mogę już swobodnie dawać sobie z nią radę jako z elementem obrazu. Tylko

cały w tym kłopot, że rysunki moje są tylko dla mnie samej drogą do pewnych osiągnięć, ale nie egzystują jako rezultat sam w sobie.

W tej chwili, pisząc, natrafiłam na sedno zagadnienia, które jest tak proste i jasne, że aż mi wstyd, iż nie uświadomiłam sobie tego

25.VIII. — — — Dziś natrafiłam na miejsce wspaniałe, z którego będą malowała dawno upatrywany temat z placu autobusowego. Zestawienia kolorów niezwykle wyrafinowane. Turkusowe niebo, czystki, przejrzyste, zielona kopuła cerkwi, jak vero-



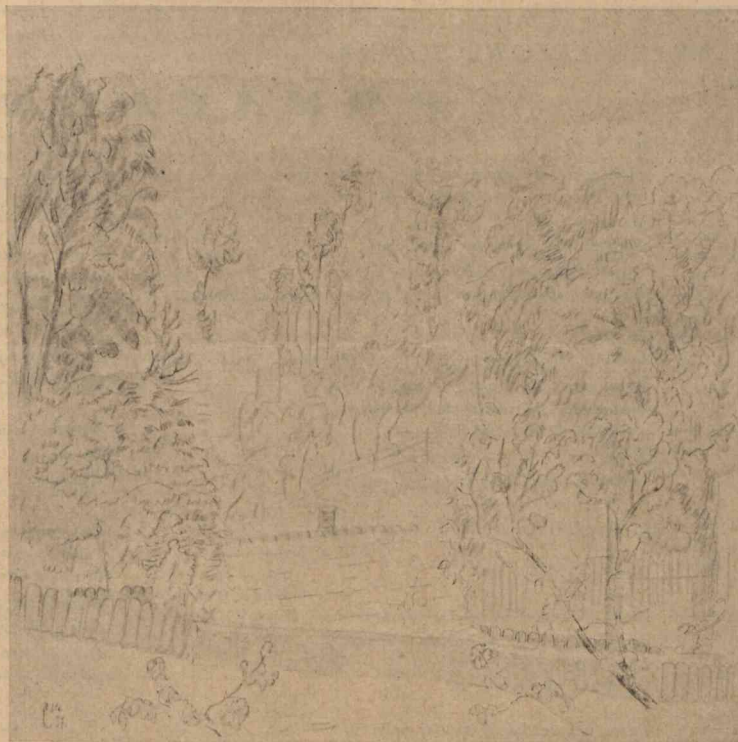
wcześniej. Po prostu są dwa rodzaje rysowania: jeden — to rysunek jako najbardziej przyjęty sposób uczenia się konstrukcji formy, zapoznawania się z nią, tym samym jako materiał pomocniczy; drugi — to rysunek jako cel sam w sobie. Oczywiście, oba te rodzaje niejednokrotnie zahaczają się z sobą, i przeważnie wynika to z nieświadomości sobie różnorodności tych zagadnień, czasami z przypadku. Jeżeli tym przypadkiem okaże się talent autora, wtedy trafiają się przepiękne rysunki, których punktem wyjścia był cel pomocniczy. Takich przypadków niestety jest niewiele. Rysunek sam w sobie i spokrewnione z nim najbliższe wszelkie rodzaje grafiki — to po prostu uproszczone malarstwo, sprowadzone do dwóch kolorów, koloru papieru i koloru farby drukarskiej, względnie ołówka, kredy, tuszu.

nes prosto z tuby, autobus stoi na placu także niebieski (rozbielony błękit pruski — kolor sam w sobie wulgarny — w tym zestawieniu nie zastąpiony). Dachy jasno-czerwone ciepłe i zimne ciemno-czerwone, granatowy, zbliżony trochę do fioleto, cień na ciepłym żółto-szarym terenie (kamień). Ściane sino-białe, srebrzyste wiążą się drażniące z chłodnymi zieleńmi i błękitami. Inne ściany — ciepłe, agrowo-różowawe — znajdują się w pobliżu ciepło-czerwonych dachów. Na niebie muszą być ciepłe różowawe obłoki, choćby zamarkowane delikatnie gdzieś w górce obrazu, bo by mi te żółte ściany wyskoczyły jak dziury.

27.VIII. Do furii mnie doprowadza gwasz, całkiem sobie nie umiem poradzić z tym materiałem — zupełnie jakbym miała grać na skrzypcach i w żaden sposób nie mogła ich nastroić. Wszystkie kolory są fałszywe, ani jeden nie jest podobny do tego co chcę wydobyc.

Miałam dziś dziwne przeżycie. Skomponowałam sobie w domu ten pejzaż z placu autobusowego, następnie zestawiłam z notatką z natury, która w czasie rysowania była odłożona, i zaraz poszłam w to samo miejsce, aby natychmiast na świeżo porównać. Nie malowałam tego jeszcze, ale kolorzy chciałam też jeszcze raz zobaczyć. Godzinę wybrałam tę samą (aby ten sam autobus stał na miejscu) i pogoda była podobna — tak że mogłam z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że zobaczę coś bardzo zbliżonego. No, i mam zmartwienie: okazało się że ściany cerkwi, które wydawały mi się takie zimne sino-białe, są ciepłe, zielonkawe, i w tych warunkach nie tyle zapamiętane zestawienia przesunięte zostały w inną tonację, ile powstała całkiem nowa harmonia. Długi czas stałam, usiłując odnaleźć koniecznie poprzedni kolor, i nie mogłam. Ściany cerkwi uparcie tkwiły w ciepło-zielonkawych tonach, ściany małych budek sklepowych o chłodnych czerwonych dachach były chłodne, cytrynowo-żółte, stonowane neutralną jakąś szarością, ściany niskiego domu pod ciepło-czerwonym dachem były jasno-oranżowe. Kopuła, niebo i autobus pozostały w dawnych kolorach. Bardzo charakterystyczne mi się wydaje, że te trzy kolory przy tych zmianach zachowały swoje poprzednie natężenie.

Zauważyłam że w mojej pamięci pozostaje zawsze obraz o pewnych odchyleniach od rzeczywistości. Bo gdy po jakimś czasie zobaczę przedmiot dawno nie widziany, to poznaję go, ale widzę że jest on różny od





tego, który zachowała moja pamięć. Zdaje mi się, że to jest tak: moja uwaga notuje te cechy przedmiotu, które mnie w danym momencie interesują. Cechy te w ciągu długiego czasu niewidzenia przedmiotu wyobrażenia wyolbrzymia, nadając im znaczenie decydujące dla charakteru rzeczy widzianej; tym sposobem następuje indywidualna deformacja widzianego obrazu. Wyobrażam sobie, jak się rzecz miała w tym wypadku. Bardzo często chodzę przez ten plac, podobna mi się tu i już dość długo myślałam, by sobie wybrać jakiś punkt z którego będę malowała. Wielokrotnie choć przelotne widzenia narastały w mojej pamięci. Zimny biały kolor, który mnie tak zafrapował w tej harmonii, powtarza się dość często na placu, ale akurat nie w tym miejscu. Pierwsze zjawienie się tego obrazu w jakiejś skomponowanej formie było zapewne nieświadomą syntezą wszystkich zapamiętanych momentów poprzednich. Drugie, mniej albo wprost wcale nie oparte na wzruszeniu, było oczywiście bardziej obiektywne, a tym samym prawdopodobnie bardziej zgodne z rzeczywistością. Zresztą nie wiem, może to wszystko jest sugestia.

2.IX. — Dział po południu rysowałam w Żolobach. Na razie już wiem na pewno, że muszę bardzo dokładnie i najskromniej przerysowywać po prostu naturę, usiłując się zdobyć na najdalej idący obiektywizm i zwracając uwagę na konsekwentne tłumaczenie rysunkiem konstrukcji formy. — — —

A propos tematu z placu autobusowego: dziś pracowałam tam, i było cudownie. Cerkiew była znowu srebrzysto-sinawo-biała. Patrzałam długo, dokładnie: było na pewno tak samo, jak za pierwszym razem. O potęgo złudzenia!

3.IX. Już wiem co trzeba zrobić, aby nauczyć się rysować — po prostu trzeba rzeźbić i zapoznać się uczciwie z architekturą, bo konieczna jest umiejętność rysowania konstrukcyjnego. Wtedy żadna łatwość rysowania czy elegancja faktury nie będą tandetą, ale mają szansę, by stać się stylem. Ciekawam, czy jak porzeźbię jakiś czas, włożę się w taki piękny konturowy, po japońsku jak niteczką wydzielony w płaszczyźnie papieru rysunek. Z początku chciałam rysować konturem, na przekór sobie, ale niedługo wytrzymałam, nazywam to. Rysuję chętniej nerwowymi krótkimi kreskami miękkim ołówkiem, szukam, wypracowuję, ulepiam sobie formę i to jest mi bliższe. Wciąż wracam do tego, że nie lubię konturu. Jak takie rysunki widzę, to mi się podobają, a jak sama rysuję, to mnie denerwuje — nie to co ja chcę, ale pewnie dlatego, że nie umiem. Jak porzeźbię, to zobaczą: może jeszcze trzeba będzie pokreślić trochę. Ciekawa jestem, co to jest z tym rysunkiem. — — —

2.X. Byłam na ślicznym spacerze. Znowu nieznanne ścieżki i pejzaż znowu inny. Jestem pełna radości. Wspaniałe akordy kolorów są ze mną do teraz. To było cudo, to co widziałam. Nawet trudno mi jest pisać, bo było tak bogate i tak specjalnie już z plastycznych kategorii, że nie znajduję słów. Teraz jest jesień, kolory grają jak symfoniczna orkiestra pod doskonałą batutą Pana Boga. Powietrze przepojone wilgocią, nasycone światłem słonecznym, robi cuda z barwami wszystkimi, z drzewami, dachami, ścianami domów, z terenem, ogołoconym już często z zieleni. W ogóle bajki nie do opisanie.

6.X. Dziś noc miałam prawie bezsenność i zdaje się jakąś gorączkę, duszno mi było i

oczy uciekały mi do mózgu. Ale miałam jedną przyjemność — przyglądałam się, jak powolutku światło wsączało się w ciemność i nasycało ją. Przez wszystkie stopnie szarości przebiegłam aż do srebrno-białego świtu. Teraz jest październik i poranki są białe i mgliste. Z pięknego mglistego poranka wyłoniła się, zresztą jak to się często o tej porze trafia, prawdziwa jesienna szaruga.

Zimno już na dworze. A tu w „Kresówce“ gorąca kawa, ciepło, ciasno, przytulnie, radio coś tam pogaduje. Przy sąsiednim stoliku opowiadają jakąś zawiłą historię o przywiązaniu piesku. Tak słodko zdrobniałymi słowami ciąpią z rosyjska po kresowemu.

Jedna kobieta ma twarzyczkę krótką, skureczoną jak małpka, włosy czarne, puszyste, niechlujnie rozczochrane — przyduszone ciasnym granatowym beretem, spod którego wysuwają się dwoma obfitymi krzakami na boki. Brwi na białej twarzy z cynobrowymi rumieńcami, czarne, krzywe, wyglądają jak nieporządnie węglem nakreślone. Tuż pod nosem nieforemny usta jak dwa zdrowe, równo ułożone waleczki z gliny, ujęte w dwie fałdy od policzków jak w dwa nawiasy. Małutka przy tym, ledwo głową nad stół wystaje, prawie karliczka, wdzięcząca się, brzydka, niemile niepokojąca, dziwaczna. Druga — o urodzie regularnej, klasycznej, spokojna (taka „przepraszam że jestem“); faliste włosy z czarnych szpakowate, ciemno, spokojnie, obojętnie ubrana.

Dwóch mężczyzn: jeden siedzi przy kobiecie z małą główką i ma twarz bardzo długą, oczy jak bizantyjska ikona, nos długi, grubawy, usta o wargach bardzo wywiniętych i bardzo krótkich w rozcięciu. Łysawy, dwa podbródki podłużają twarz. Ramiona bardzo spadziste.

Drugi pan — stary, siwy, duża głowa na chudych ramionach. W twarzy mongolskie skłoty, sprytnie siwe oczka z mongolską skośno. Dobrotliwy uśmiech pod przystrzyżoną szcetką siwych wąsów, uszy odstające. Mówią do niego „pamię doktorze“. Jest mężem pani - małpki. Rozmowa o wiernej suczce jest jedynym wzelem towarzystwa. Każdy ma swój inny świat, — to widać. Wszyscy rozmawiają — obok; nawet gdyby nie mówili o suczce, też by mówili obok. Nie mają wspólnego języka, nie tylko werbalnego. Nawet ten mąż z żoną nic o sobie nie wiedzą.

Jak tylko wszłam, zobaczyłam ich od razu, wszystkich jak figury z powieści. Teraz odeszli mężczyźni, panie usiłują nawiązać kobiecie rozmowę (coś takiego: „my kobiety mamy swoje tajemnice“) i też nie mają sobie nic do powiedzenia. Zdania wpadają w pustkę i rozsnuwają się ulamkami dźwięków w powietrzu, bo nie mogą zadźwięczeć rezonansu uwagi. Ale w tej chwili podszedł siwy pan z trzecią kobietą — młodą, dużą, grubą, przyjacielską, o ślicznych kobiecych rękach. Ci dwoje rozmawiają naprawdę. Nic nie przepada, nawet pomyślane słowo niedopowiedziane. Rosjanie, starają się mówić po polsku, z uwagi zapewne na resztę towarzystwa, i oczywiście okropnie kaleczą.

Szpetna brunatna tapeta w ciemno-czerwone kwiatki — to nie zastąpione tło dla tych czworga ludzi — czterech rzeźb. Każdy z tych ludzi na inny sposób tkwi w porządku świata i wszyscy, bez względu na poziom swego wykształcenia (zapewne

dynie styka się ze światem. Jej wejście między tych ludzi — to było coś takiego, jakby raj uśmiechnięty wkroczył w ponurą opowieść o sędzie ostatecznym.

Bardzo przyjemnie jest widzieć ludzi. W tej chwili zobaczyłam, że pani - małpka ma duże piękne ręce o długich palcach — malpie ręce, o wiele za długie do jej wzrostu i wielkości głowy. Ona na pewno bardzo dobrze klamie. Nie szuka okazji do klamania, ale gdy wydaje się jej że trzeba, robi to bardzo dobrze.

22.X. Pogoda — słońce. Całkiem złote góry, wszystkie lasy w złocię, dęby, graby, a brzozy przepięknie tak specjalnie tracą liście, że gałązki są całe ogołocone, a tylko na końcach zostają kępki drobnych złotych listków. W masie to wygląda przelicznie.

Cały las smukłych, bladofioletowych statuetek, zwieńczonych złotymi koronami. A potem, pod zachód, cienie padają długie z jednej góry na drugą i przecinają wzgórze kapryśną skośną linią; jedna połowa jest utkana ze złota i fioleto, a w drugiej te same kolory tkwią pod cieniem niebieskoszmaragdowym, jak pod przejrzystym woalem. A niebo nad tym wszystkim dokładnie turkusowe i bez chmurki, nawet bez najlżejszego obłoczka. W dole jest polanka zieleniutką murawą pokryta jak w maju, a z niej — jak słup zielono-fioletowy — wyrasta wzdłuż najwyższego wzgórze wyrębana w lesie skoczni narciarska. Na środku polanki stoi domek małutki, biały, pod spadzistym czerwonym dachem: to schronisko.



bardzo niewielki), posiadają dużą świadomość istnienia, tak na własny użytek, bez jakiegokolwiek zdolności sformułowania tego w słowach. Może tylko ta gruba przyjemna kobieta, jedna wśród nich, naskórkowo je-

A polanka nazywa się Zgnile Jezioro na intencję jakiejś legendarnej wody, która to podobno była kiedyś — dawno.

LEOKADIA BIELSKA

HENRYKA ŁAZOWERTÓWNA

PORACHUNKI

*W tym kącie,
gdzie jak cegły piętrzyłeś swe bezsenne noce,
trwa jeszcze szelest gazet i woń papierosów.*

*Zawsze jednako
półmrok liże skrzypiącą podłogę
i zegar tym samym głosem
liczy oddechy śpiących i tych, którzy zasnąć nie mogą.*

*To tutaj
walały w ciebie godziny i moje twarde, nieopatrne słowa.
Tutaj cię trawowała moja ślepa młodość.
Nie umiałaś jej wstrzymać, opanować:
wynykła ci się z rąk jak woda,
przeplęwała mimo ciebie beztroska,
swoim prawem bezwzględny surowa...
Posiwała na skroniach głową
tu w poduszki wgniatałaś swą rozpacz.*

*Ojcie —
w tym kącie,
gdzie jak cegły piętrzyłeś swe bezsenne noce,
dziś nade mną ciemność się przewala
i pięściami w serce lomoce,
jak w zatrzęsnięte drzwi.*

*Tutaj, w gnieździe samotnej goryczy,
gdzie trawowała ciebie moja ślepa młodość,*

*zzywam rozdarte dni
i wszystkie złe godziny w pamięci przeliczam,
i wszystkie w łzach roztopiam jak kawały lodu.*

*W tym łóżku, które teraz po tobie dziedzicze,
ryjąc poduszki rozpaloną głową,
co noc zanoszę się płaczem,
na znak czekając, na słowo — — —
Ale ty już nie powiesz, że wszystko przebaczasz,
bo jesteś niczem...*

*Wracam, o wyminięty! Wolam — oniemiały!
Rozdrapuję cię w sobie jak jątrzącą ranę — — —
Milczysz — milczeniem śmierci doskonałym.*

Pod powieki wsącza się ranek.

*W tym kącie,
gdzie bezsenność rozdziera zniekane oczy,
świt przychodzi jak ostatni ratunek...
Tu, podcięta cierpieniem, jak drzewo się wale,
by znów powstać następnej nocy — — —*

*Aż zakończy się tajemny rachunek
i opadną z r ó w n a n e s z a l e.*

WACŁAW RADULSKI

O KLASYCZNEJ FORMIE SŁUCHOWISKA

Namawiałem literata, p. P., do napisania słuchowiska. Pan P. zapytał, jakiego rodzaju słuchowisko byłoby obecnie najbardziej pożądane i jaki rodzaj teatru wyobraził najbardziej odpowiadałby wymogom stawianym przez radiofonie: teatr „popularny” czy też „awangardowy”? Powiedział mi: — Pan jako reżyser prawdopodobnie ma swój skrytylizowany pogląd na sztukę radiową? — W rozmowie, którą w dalszym ciągu na te tematy prowadziłem, uzgadniałem nasze opinie, a tam gdzie się to nie udawało, próbowałem precyzować nasze odrębne stanowiska.

Pan P. mówił: — Pisać słuchowisko awangardowe! Uważam, że twórczość tego rodzaju byłaby dziś nieaktualna i chybiona. Możliwe że w momencie rozpowszechnienia radia awangardowe poczynania miały pewien sens, ale dzisiaj...

— Słusznie — przytaknąłem mu; — awangarda istotnie miała rację bytu w początkach powstania słuchowisk. Wówczas każde poszukiwanie — nawet najbardziej krainowe — ze względu na to, że twórczość radiowa nie znała jeszcze żadnych właściwych dróg, doprowadzało powoli do tworzenia się pojęcia klasycznej formy radiowej...

— Oho — odpowiedział p. P. — widzę, że tracą łokiem tzw. czystą sztukę i czytelną formę. Nie wiem, czy choćby ze względu na popularność radia i jego komercyjnego założenia jakakolwiek realizacja tego pojęcia klasycznej formy radiowej byłaby możliwa. Jak dotąd, nie mogłem w audycjach radiowych dosłuchać się żadnego wyraźniejszego tonu, który by zwiastował krystalizowanie się odrębnej i artystycznie pozytywnej sztuki radiowej...

— Przynajmniej — odpowiedziałem, — że w ogólnym bilansie słuchowisk to pozycje nie są częste. Niemniej jednak, zarówno pewne głosy teoretyków radiowych jak i nieliczne słuchowiska lub ich fragmenty mogą być dowodem istnienia i nawet pewnego upowszechnienia tego pojęcia. Trudność zrozumienia i określenia tej czystej formy radiowej tkwi w poglądzie na tzw. ślepotę radia. Otóż, brak widzenia w radio uważa się za jego wadę, kalekcję, nie zaś za istotną właściwość tego cudu nowoczesnej techniki. Przecież wynalazek radia zrealizował cel sam w sobie skończony, cel, którym było przesyłanie głosu na odległość i słyszenie z najdalej odległości. Poczytanie istoty radia za jego ułomność sprawia, moim zdaniem, że literat spogląda na radio z pewnym jak gdyby politowaniem, zwłaszcza co ile ma wyobraźnię optyczną lub jeśli zaznacza się u niego przeważyła wyobraźnię wzrokową nad akustyczną. Zduje mi się, że literat pisząc słuchowisko nie stara się o twórczość przeznaczoną do percepcji akustycznej, lecz przeciwnie: wysiła się, by ominąć przeszkody związane z brakiem widzialności. Słota radia jest dla niego przeszkodą i brakiem, a powinna być materiałem twórczym, dyktującym mu charakter dzieła — tak jak marmur lub brąz dyktują formę rzeźbiarzowi.

Pan P. zgodził się ze mną całkowicie. — Spostrzeżenie pańskie — powiedział mi — pozwoliłoby sobie podkreślić stwierdzeniem, że literaci nie zwrócili uwagi na jedną z głównych przyczyn popularności radia, jaką jest specyficzna przyjemność słuchania dźwięków z „zaczarowanej kasety”. Przyjemność ta wypływa, po pierwsze, z wyodrębnienia zorganizowanych dźwięków z dźwiękowego chaosu, w którym toniemy (zwłaszcza w wielkich miastach), a po drugie — z możliwości słyszenia czystego dźwięku bez oglądania jego źródła, czyli dźwięku uwolnionego od wszelkich dodatków optycznych...

— „przy czym mamy świadomość, że istnieje źródło tych dźwięków — i to żywe, a nie mechaniczne...” — wtrąciłem.

— Tak... — kontynuował P. — Nawet słuchanie przez radio koncertu z płyt gramofonowych jest na skutek takiego nastawienia zupełnie czynnym innym, niż słuchanie patefonu...

— Co do tego ostatniego, nie jestem tak znowu przekonany — przerwałem mu. — Chyba że słuchacz, odbierając dźwięki nagrane na płyty, ulegnie złudzeniu, nie odróżni mechanicznej transmisji od wrzeń bezpośrednich.

— A czy przeciętny słuchacz zawsze odróżni transmisję bezpośrednią od nagrania na stillu? — odparował P. — Ale, wracając do istoty pańskiego spostrzeżenia na temat fałszywego odnośnika literatów do radia, sądzę że ten stosunek może odpowiednio przekształcić i unormować bliższy i ciągły kontakt literata z pracą radiofonizacyjną w studio.

Z tym się nie zgodziłem. — Literat — powiedziałem — powinien pracować u siebie i jedynie pamiętać, a raczej w pełni odczuwać, że istotą radiofonii jest przyjemność słuchania zorganizowanych dźwięków. Zresztą — powtarza pan pogląd rozpowszechniony, ale — moim zdaniem — błędny i pełen twórczej inercji. Nie „obecowanie” literata z kuchnią radiową, ale zrozumienie i przyswojenie sobie „prawa zorganizowanego dźwięku” jest podstawą klasycznej formy słuchowiska. Naturalnie, w skład organizacji muzycznej wchodzi troska o różnorodność dźwiękową. Wzrok nasz jest bardziej kinetyczny aniżeli słuch, który jest raczej statyczny i musi być stale na nowo podniecany. Muzyka, ten „najmilszy z hałasów”, ten kompleks dźwięków najlepiej ułożonych, zharmonizowanych, zna doskonale sekrety naturalnej organizacji naszego ucha. Muzyka podnieca słuch za pomocą zmian rytmu, tempa, kontrastów dynamicznych itd.

— Pozwól mi sobie przerwać Panu — powiedział P. — Chcę powrócić do stosunku literata do radia i niejako uzupełniając pańskie spostrzeżenia zauważyć, że ponieważ najczęstszą formą wypowiedzi literackich jest słowo drukowane, jak można się dowieść, że literat — nawet pisząc dla radia — pisze słowa do druku, słowa przeznaczone do „czytania”. Wiadomo, że zupełnie inaczej działa słowo oglądane, a inaczej słowo słyszane. Wydaje mi się, że wobec tego należałoby się zastanowić, czy nie można by ustalić drogą analizy, które słowa jednak działają gdy są mówione lub widziane, a które są słowami niemal wyłącznie akustycznymi czy optycznymi. Może nawet dalsze się taką linią demarkacyjną nakreślić. Może literaci winni zacząć studia — nad słowem przeznaczonym wyłącznie do słuchania...

— Oho! — odpowiedziałem po chwili namyślenia. — Musiałby pan w tym wypadku pisać scenariusz słuchowiska przy pomocy specjalnego słownika słów radiowych. Czyby to aby nie było znowu zbyt skomplikowane? Moim zdaniem, wszelkie wątpliwości, dotyczące dźwiękowej wartości poszczególnych słów, rozstrzyga psychologiczna konstytucja piszącego, chociaż w zasadzie ma Pan rację. O ile bowiem literat, operujący wyobraźnią malarską i pojęciami „dynamiczną, istotnie będzie tylko „drukował” słowa dla radia — o tyle pisarz o przewadze wyobraźni akustycznej nie będzie „popelniał” tego rodzaju słuchowisk (raczej: niepełnych widowisk), które muszą męczyć słuchacza koniecznością transponowania dźwięków na obraz, podobnie jak to czyniła muzyka w okresie tzw. idei programowości. Pod kątem słyszenia, a nie widzenia powinno się do radia pisać i radiofonizować. Zazwyczaj dzieje się inaczej. Weźmy np. nadawaną przez radio *Zemstę*. Niewątpliwie zwiokrotnienie odbioru tekstu, propaganda twórczości Fredry są plussem tego słuchowiska. Ale, z punktu „słyszania” klasycznej formy radiowej, brak widzialności *Zemsty*, utworu przeznaczonego co najmniej w tej samej mierze do oglądania jak i do słuchania, jest poważnym defektem... W ogóle w literaturze dramatycznej trudno odnaleźć utwory nadające się dla radia...

— A np. literatura średniowieczna lub antyczna? W wielu wypadkach zdaje się, że jest jakby pisana dla radia...

Widząc, że chcę mu przerwać, P. szybko ciągnął dalej: — Wierzę, wiem: chce Pan powiedzieć, że oba te okresy nie mogą stanowić przedmiotu żywego zainteresowania radiosłuchaczy; chyba w wyjątkowo kulturalnych środowiskach odbiorców. Wobec tego wrócimy do nowoczesnych bolączek literacko-radiowych. Czy wobec istnienia lub formowania się pojęcia *słuchowiska klasycznego* nie zwrężyć się przerażająco możliwości współpracy literatów z radiem.

JA: W zasadzie, w teorii — tak. Ale w praktyce czysta forma radiowa musi i będzie zawsze balansować pomiędzy teatrem a literaturą. To jest nieuchronne, bo radio-słuchkę nazwaliby sztuką drugorzędą, pochodną techniki. Niemniej jednak uważam, że najlepiej rozwiązuje te trudności postulat wyobraźni akustycznej u twórcy... Nad czym pan tak się zamyślił?

ON: Staram się sobie wyobrazić, co będzie gdy udoskonalą się i rozpowszechni telewizja. Jak wtedy wyglądać będzie problem słuchowiska? Już sam termin...

... ulegnie zmianie — przerwałem mu. — Ale sądzę, że dziesięć dziesiątych programu radiowego pozostanie w sytuacji jaka jest dotychczas. Oczywiście, zmieni się technika nadawania, a przy odbiorze (np. przy reportażach z meczów) będziemy widzieli boisko i graczy, przy odczytach — prelegenta, przy koncertach — so-

listów lub orkiestrę, itp. Stąd jednak w stosunku do reportażu czy transmisji nie zrodzi się żadna problematyka estetyczna. Również nie będzie żadną problematyką artystyczną transmisja przedstawienia teatralnego (w sensie reportażu), transmisja filmu, itp. Ale wróćmy do klasycznej formy radiowej, której cechy starałem się obaj scharakteryzować, i do zagadnień teatru wyobraźni, bo i ten orzech starałem się jeśli nie rozgryźć całkowicie, to przynajmniej nadgryźć. Cóż się stanie z teatrem wyobraźni, gdy nadejdzie era telewizji i (co jest bardzo prawdopodobne) telewizji kolorowej?

— Dobrze, — odpowiedział P. — Zabawmy się w Wella. Myślę, że zacznie się od krótkometrażówek filmowych. A więc będzie zmiana: z objęć teatru w objęcia filmu. Zduje mi się jednak, że tzw. czysta forma radiowa i tu znajdzie swoje zastosowanie. W przeciwstawieniu do filmu, strona wzrokowa będzie tu prawdopodobnie odgrywać rolę pomocniczą, jak dźwięk jest elementem pomocniczym w filmie. Ale odpowiednika wzrokowego nie będzie się być może szukać

(i nie należałoby tego czynić) ani w teatralnych dekoracjach ani w naturalizmie kina, lecz w kompozycji malarskiej będącej w stosunku do wrzeń akustycznych czynnikiem adekwatnym. Kolorówki Disney'a mogą dać pewne wyobrażenia o przyszłym filmie radiowym. W związku z tym mogą otworzyć się przed artystycznym filmem radiowym bardzo ciekawe drogi. Wyobraźnia akustyczna będzie musiała współpracować z wyobraźnią malarską i skutkiem tego znowu będą obowiązywać zasady kompozycji radiowej, nie zaś teatralnej lub filmowej.

— Bardzo dobrze — odpowiedziałem. — Nastąpi zatem pewnego rodzaju równowaga w pracy wyobraźniowej literata tworzącego dla radia. Będzie pisał i pod kątem *słyszania radiowego* i pod kątem *radiowego widzenia*.

— To bynajmniej nie ułatwi pracy literatom... — odparł P. — W tym przyszłym słuchowisku... nie: widowisku...

— Na nomenklaturę mamy jeszcze czas! — Tymi słowami zakończyłem dialog.

WACŁAW RADULSKI

Z ZAGRANICY

Plan — taki tytuł nosi nowy dwumiesięcznik austriacki, poświęcony sprawom sztuki i kultury. Ukazuje się w Wiedniu, wydaje go Otton Basil. *Plan* łączy we wspólnym wyścigu rozproszoną dotąd działalność artystów różnych dziedzin twórczych: poetów, malarzy, rzeźbiarzy, architektów, — i różnych kierunków: od postimpresjonizmu po nadrealizm i tendencje wywodzące się z neoplastycyzmu — artystów przeważnie znanych i uznanych, a walczących tu o urobienie doznań publiczności, o wciągnięcie jej mocniejsze w krąg tego, co jest w Austrii nowatorstwem artystycznym, rozumianym, jak widzimy, w znaczeniu dość rozległym. Cytujemy z *Uwagi wstępnej*, otwierającej pierwszy numer (styczeń 1938): czasopiśmie chce „ukazać młoda i żywa, t. zn. o sens i wyraz dzisiejszej formy życia walcząca sztukę, w jej manifestacjach i drogą omówień”. A dalej: „Wszelka reglamentacja sztuki oznacza w praktyce nic innego, jak dyktaturę podprzejętności nad powołanymi...”. W tym za i w tym *przeciu* mieszczą się zasadnicze założenia *Planu*: nowoczesność i autonomia sztuki. Pierwszy numer przynosi m. in. rozprawę Basila o Thöny, wiersze Kramera i Geista, reprodukcje swych obrazów, rzeźb, projektów architektonicznych dają Eichholzer, Goebel, Jené, Mahler, Plischke, Pointner, Pregartbauer, Rabus, Thöny, Zotter. Jedną z najciekawszych i najszerzej perspektywy otwierających pozycji numeru jest artykuł architekta Schachera *O budownictwie przyszłości*. Zbiega się on w wielu punktach z tym, co o architekturze pisał Władysław Strzemiński. Wyróżnia go jednak spirytualistyczne spojrzenie na architekturę.

Emil Barth wydał książkę o Jerzemu Traku.

Ernest Krenek, autor słynnej opery jazzowej *Jonny przygrywa*, skomponował cykl pieśni do słów Franciszka Kafki. Ich premierowa prezentacja odbędzie się prawdopodobnie w Pradze, wraz z wykonaniem nowych wariacji fortepianowych Kreneka, które autor odegrał poprzednio w Hollywood i San Francisco.

Niedaleko Lezano w Jugosławii odkrył belgradzki archeolog, profesor Włodzimierz Petković, resztki dużej katedry. Jest to największy po wznieśionej przez Justyniana Aji Sofii kościół bizantyjski; od Aji Sofii niewiele tylko mniejszy. A że Justynian, jak głosi wieść dawna, zbudował niegdyś katedrę w pobliżu miejsca swego urodzenia (nieznanego dotąd), więc uczeni przypuszczają, że świeżo odkryta katedra, która, sądząc po stylu, pochodzi niewątpliwie z okresu justyniańskiego — również Justynianowi zawdzięcza swe powstanie, i że Lezano było miejscem jego urodzenia.

W Radio Praskim odbyła się niedawno premiera młodzieńczej opery Dvoraka *Alfred*, opartej na tekście słownym Teodora Körnera.

Nowa książka Niny de Valois *Invitation to the ballet* omawia obecny stan rozwoju nowego baletu angielskiego. Autorka stwierdza ukształtowanie się w angielskiej sztuce baletowej nowej jedności wyrazu i techniki, którą przypisuje korzystnym wpływom baletu Diaghilewa.

W wydawnictwie *Cahiers du Journal des poètes* ukazała się praca Ventury Garcii Calderona p. t. *Explication de Montherlant*. Autor w interesujący sposób naświetla postać Montherlanta, dopatrując się w jego twórczości cech właściwych romantyzmowi hiszpańskiemu „z typową dla niego oschłością duszy, chęlnością erotyczną i niepokojem duchowym”. Być może, że istotnie w tej właśnie „hiszpańskości” wybitnego pisarza tkwi zagadka jego indywidualności twórczej, zaprzatająca w chwili obecnej wielu krytyków francuskich.

Ramon Fernandez omawia w *Marianne* książkę Henri Massisa pt. *Le drame de Marcel Proust*. Książka ta, będąca zarazem syntezą krytyczną i „osądem” twórczości Prousta, wyróżnia się przede wszystkim postawą autora, który jest zasadniczo wrogi wszystkim „hiszpańskim”, co można by nazwać „duchem proustowskim”. Stojąc na stanowisku pisarza katolickiego Massis zarzuca Proustowi, że „zdradził swoją duszę”. Przy pomocy *Les Plaisirs et les Jours* odwarza obraz Prousta w latach dziecięcych, kiedy był on jeszcze wybitny wrażliwy na zagadnienia moralne. Wrażliwość ta była tym większa, im silniejsze były „impulsy niemoralne”, które poczynały go nurtować. Lata przyniosły Proustowi „przegraną w walce z samym sobą”, co nie przeszkodziło mu jednak, zdaniem Massisa, zachować na dnie duszy podstęp dawnej surowej moralności. Jego pesymistyczny pogląd na człowieka ma też za źródło własne wyniki badań introspekcyjnych. Massis uważa, że Proust był „człowiekiem bez Boga, który jednak Boga nie zapomniał”.

W Paryżu zmarł w 78-mym roku życia wybitny lingwista francuski, Ferdinand Brunot, uczony światowej sławy, któremu językoznawstwo francuskie ma szczególnie wiele do zawdzięczenia. Mimo nieocenionego zasług na polu krzewienia kultury dla poprawności i piękna języka francuskiego, nie udało mu się otrzymać miejsca w Akademii, co — jak podkreśla z przekąsem prasa francuska — było następstwem reakcji szacownego grona na pracę pt. *Observations sur la grammaire de l'Académie Française*.

W wydawnictwie N. R. F. ukazały się pamiętniki Ewy Curie, poświęcone wspomnieniom o matce. Książka nosi tytuł: *Madame Curie*. Dzięki niewątpliwemu talentowi literackiemu autorki i wzruszającemu pietyzmu i prostocie, z jaką kreśli życie wielkiej uczonicy, „jedynie” — zdaniem Einsteina — osoby, której nie zdołała zepsuć sława”, niezwykła postać Marii Curie-Skłodowskiej wypadła się na kartach książki za szczególną wyrazistością. Należy przypuszczać, że chyba rychło znajdzie się u nas wydawca, który książkę o „pani Curie” udostępni szerokim rzeszom czytelników polskich.

Dan Burke napisał dramat o Van Gogh: *Van Gogh. A Play in six Scenes*.

Estoński P. E. N.-Club wydał antologię prozy estońskiej w przekładach francuskich (*Anthologie des Conteurs Estoniens*). Zbiór ten poprzedził przedmową krytyk francuski Leon Pierre-Quint.

PRZEGLĄD PRASY

OD REDAKCJI

Ocena czasopisma nie jest rzeczą prostą. Wartość periodyku nie pokrywa się z wartością prac w nim ogłoszonych. Czasopismo posiada odrębną wartość jako całość i musi być oceniane ze stanowiska swych założeń społeczno-kulturalnych. Co innego wydawnictwo naukowe, służące Prawdzie ponadprzecennej i ponadczasowej, a co innego miesięcznik lub tygodnik, naczynia sobie określone, w konkretnym środowisku i momencie historycznym.

Te refleksje nasuwają się czytelnikowi *Ateneum*. Drugi zeszyt tego pisma, bogaty i urozmaicony, nie daje odpowiedzi na kłopotliwe pytania: jaki jest program redakcyjny? jakie zadania *Ateneum* zamierza spełniać? Zeszyt ma charakter *sprawozdawczy*; znajdujemy w nim kilka artykułów nekrologicznych, jeden o młodym laureacie, dłuższe omówienia powieści Berenta i Gombrowicza, liczne recenzje z nowości wydawniczych, a także czasopism. Zapewne sprawozdania te mają wprowadzać jakiś porządek, jakiś ład kulturalny; nie umiemy jednak zdać sobie sprawy z zasad, na których ten ład się opiera.

Wiele jest w *Ateneum* t. zw. twórczości oryginalnej. Wśród licznych wierszy, nie wykraczających ponad poprawność, wybija się niewielka grupka utworów, twórczych „awangardę” numeru: piękny wiersz Wł. Sebyły, zrodzony z ducha Slowackiego, i z tegoż ducha pochodzący wiersz Al. Rymkiewicza; kilka szczęśliwych eksperymentów Przybosa i szlachetnych w stylu prób Jastruna. Dodajmy piękną prozę Miłosa i przekład z Apollinaire'a, a otrzymamy to co stanowi *twórczy ośrodek* nowego zeszytu *Ateneum*. Niestety ośrodek ten jest dość szczupły.

W *Wiadomościach Literackich* z dn. 27 marca Boy-Zeleński opowiada o pierwiastkach „autentycznej rzeczywistości” w cyklu powieściowym Prousta. Jak każdy powieściopisarz, Proust wiele czerpał z doświadczeń osobistych i modelami jego bohaterów były nieraz postaci z najbliższego otoczenia. Autor *Strony Guermantes* czasem zgola beczerebralnie czerpał twórczo literackie żywce z rzeczywistości; tak np. włożył w usta księżnej de Guermantes wiele powiedzeń niejakej pani Straus, osoby słynnej z dowcipu. „Zaboreza potrzeba autentyzmu przy równoczesnym antyrealityzmie, spożytkowanie każdego poszczególnego rysu przy równoczesnym tworzeniu najogólniejszych mitów ludzkich i szukaniu najpowszechniejszych praw, niezmiennie staję się jedną z osobliwych i najbardziej znamiennych właściwości Prousta jako pisarza”.

Z pism codziennych, prowadzących felieton literacki, na plan pierwszy wybija się *Gazeta Polska*. Znajdujemy w niej co kilka dni jakiś zajmujący i godny uwagi szkic literacki. W n-rze z dn. 22 marca Kazimierz Wyka pisze o interesującym eksperymencie teatralnym w Krakowie. W jednej z kawiarni amatorski Teatr Artystów, pod kierownictwem znanego malarza Józefa Jaremy, wykonał znaczną część *Wyzwolenia* Wyspiańskiego. Skromna próba dała olśniewający rezultat: ujawniono silny nurt satyryczny dramatu, „z anty-realistycznego potraktowania dekoracji, z śmiałej deformacji masek, z parodijnej intonacji przemówień wydobytą została ta wizyjność teatru Wyspiańskiego, której coraz bardziej brak w oficjalnych inscenizacjach”. Np. niedawno teatr krakowski wystawił *Bolesława Śmiałego* tak jak go widział i zrealizował na scenie Wyspiański. I jaki był rezultat? „Nie widziałem — pisze Wyka — również martwego i drewnianego przedstawienia; secesjonistyczny przepych rzekomo piastowskich ubiorów przeszkadzał, przynuszał do realizacji wrokowej, jaką dziś odczuwamy jako wtórny obraz obecnej epoki”. A więc zdobywamy z bezstronnej, nie podejrzanej o sprzyjanie nowincom strony cenne wyznaczenie; czasem twórca reżyser musi działać wbrew poecie, wydobyc w formie teatralnej zawartą w tekście poezję.

W n-rze z dn. 25 marca W. Kubacki zastanawia się nad stosunkiem Wierzyńskiego do młodego pokolenia poetyckiego i twierdzi, że autor *Gorzkiego urodzaju* mógłby stać się autorytetem kierowniczym dla młodych poetów polskich. Twierdzenie to nie przekonywa nas; styl poetycki Wierzyńskiego tak daleko odbiegł od dążeń artystycznych młodszej generacji (poza jednym Łobodowskim), że nie może tu być istotnego porozumienia.

„Poezja Wierzyńskiego jednym skrzydłem dotyka klasycyzmu, a drugim ociera się o awangardyzm”. Gdzieś owo „ocieranie się” o awangardyzm? Zamiast argumentować Kubacki cytuje, ale cytaty nie są argumentami. Zgadamy się natomiast na tę uwagę krytyka: „Bez mała co roku pojawiają się nowe talenty poetyckie. Brak natomiast wybitniejszych indywidualności, które mogłyby opanować sytuację, pociągnąć za sobą niezdecydowanych, skupić wokół siebie rozproszone siły poetyckie, stać się zaczątkiem szkoły, ruchu, prądu. Idzie o nadanie jakiegos zdecydowanego kierunku mgławicy najróżnorodniejszych, wzajemnie się neutralizujących możliwości poetyckich”.

I wreszcie w n-rze z dn. 28 b. m. teź *Gazety Polskiej* znajdujemy wspomnienie Jarosława Iwaszkiewicza o Karolu Szymanowskim (*W rocznicę śmierci Karola Szymanowskiego*).

Pod redakcją Ludwika Stolarzewicza zaczęło się ukazywać pismo *Kultura Łodzi*. Zeszyt pierwszy (z datą 1 lutego) prezentuje się sympatycznie. W szeregu artykułów autorzy poruszają aktualne problemy życia umysłowego swego miasta, okazując szczere przejęcie się sprawami, o których piszą. Jak widać z numeru Łódź jest obecnie miastem kulturalnie martwym, istnieje jednak w masach pracujących wielki głód duchowy i zaspokojenie tego głodu zdoła pchnąć życie umysłowe hawelniańskiej metropolii na nowe tory. Następny, podwójny numer *Kultury Łodzi* ma być w całości poświęcony „dokładnemu zobrazowaniu pracy kulturalnej wśród rzesz robotniczych na terenie Łodzi i regionu”.

Dużą popularność i poczytność zdobył sobie „literacki magazyn ilustrowany” *Zwierciadło*, ukazujący się już od dwunastu miesięcy. W piśmie tym natrafiamy często na pióra renomowane (Staffa, Paradowskiego i in.). W ogóle — przeważają pisarze młodszego pokolenia. W zeszycie lutowym (w którym na osobną pochwałę zasługują staranna forma graficzna i w ogóle piękne wyposażenie edytorckie) piszą m. in. St. Pięćlak, H. Zasławski, Św. Karpieński, St. Otwinowski, H. Dominiński, L. Świeżawski, St. Podhorska-Okołów. Nazwiska mówią same za siebie, gwarantując dostateczny poziom literacki w piśmie rozrywkowym. Jednakże słowo i myśl nie zawsze dorównuje w *Zwierciadlu* formie wydawniczej i ilustracji. Brak nam dzisiaj dobrej literatury rozrywkowej, takiej która by rzeczywistnie bawiła, a mimo to nie kolidowała z dobrym smakiem. Na ten brak — mimo najlepszej woli redakcji — cierpią u nas wszystkie pisma typu *Zwierciadła*.

W uzupełnieniu cytowanych w zeszłym numerze myśli C. F. Ramuza, drukowanych w lutym zeszycie *Przeglądu Współczesnego* pt. *Pisarz i społeczeństwo*, przytaczamy poniższy fragment, którego wypuszczenie nie dość ściśle oddało ostateczną tezę autora, bynajmniej nie przychylną dla warunków pracy artysty w komunistycznym państwie, takim jak Z. S. R. R.: „Tylko do tego wszystkiego trzeba jeszcze, żeby pisarz w to uwierzył (t. j. w to co mu nakazują Sowiety — przyp. nasz), mam na myśli dydaktyzm i mam na myśli rolę, jaką mu się każe odgrywać. I dalej jeszcze trzeba, aby pisarz nie tylko zgodził się na tę formę życia, ale jej także pragnął. I trzeba jeszcze, aby do tego w żaden sposób nie był zmuszany i żeby sam się nie zmuszał, skoro posiada w wybitnym stopniu, otrzymaną jako dar, zdolność ciągłego przekształcania się, która może być dla niego tylko synonimem entuzjazmu, natchnienia. Nie może on być konformistą, ale trzeba, ażeby był on dostosowany fizjologicznie, uczuciowo, umysłowo. Trzeba więc, aby to nowe społeczeństwo miało w pierw pierw kształt i aby wewnątrz tego kształtu zdolne było do wzruszeń i do ruchu: czego jeszcze nie jesteśmy pewni i na co nie miało ono jeszcze czasu dostarczyć dowodów, tak że wszystko, co można tu uczynić — to mieć w nie wiara lub też nie mieć”.

Odpowiedzi Redakcji

Godło „Nemo” — Nowela do zwrotu.
Godło „Zar” — Do zwrotu.
Godło „Ergo” — Do zwrotu.

Wszystkim uczestnikom konkursu „Pionu” na nowelę podajemy do wiadomości, że członkowie jury skończyli już lekturę utworów, przeznaczonych do drugiego czytania. W ciągu kwietnia odbędzie się posiedzenie sądu konkursowego, na którym zostaną rozdzielone nagrody i wyróżnienia. Ostateczne wyniki konkursu ogłoszone będą w pierwszym lub drugim numerze majowym naszego tygodnika.

„OBRAZ” CZECHOWICZA W RADIO

Sluchowisko Józefa Czechowicza pt. *Obraz*, nadane kilka dni temu przez Rozgłośnię Warszawską, przekonało nas, że utwór literacki nie przeznaczony dla radia może zdystansować niejedno dzieło, pisane z góry z myślą o wykonaniu przed mikrofonem. Autorzy radiowi, ośnieni możliwościami tego nowego rodzaju literackiego, główny wysiłek kierują na opracowanie sztafaży akustycznego sluchowisk, co prowadzi często do zupełnie prymitywizmu psychologicznego.

Dramat Czechowicza jest skomponowany niemal jak dzieło malarskie. Jest to nie tylko sugestia tytułu i tego że ośrodkiem artystycznym utworu, punktem wyjścia jego problematyki jest rozpoczęte przez jednego z bohaterów płótno, przedstawiające Wskrzeszenie Łazarza. Ruchy osób na scenie mają patetyczną stylizację obrazów szkoły holenderskiej. Jakby bohaterowie dramatu wyszli na chwilę z ram jakiegoś obrazu, aby — nim znowu w nich zastąpią w znieuchomionych pozach — dokonać gestów i dokończyć zdań, które, nie dokonane i nie wypowiedziane, wyrwała z potoku czasu i zatrzymała na wieczność wizja artysty. Urozmaicona fabuła, jakkolwiek ma na wskroś realistyczną motywację, nie posiada znaczenia autonomicznego; służy tylko do wiązania dialogu, jest tylko zewnętrznym wykładnikiem dramatu, który poprzez jej sploty przegląda niczem błyś stalowego ostrza. Ale mimo że dramat został zarysowany w dialogu, nie w działaniu, jest na wskroś dynamiczny. Bo też jest to jeden z tych dramatów, które zawiązują się i rozgrywają całkowicie we wnętrzu człowieka. Rozstrzajają się w nim rzeczy ważne i ostateczne a tak proste, że obywają się bez komplikowanych działań i burzliwych gestów.

Cały utwór jest jakby metaforą nawarstwową z kilku pokładów. Treść jego najzewnętrzniejsza jest dosyć powszednia. Ale pod jej powierzchnią tętni krew prawdziwie dramatycznych zmagani o pełną dojrzałość duchową malarza Jana. Stary ślepiec Szymon jest jakby rzutowaniem na teraźniejszość ostatecznego kresu tej ewolucji. W postaci Jana naświetlił autor początkowe stadium narastania tragicznego problemu, którego rozwiązanie dokonano się w duszy Szymona. Mimo takiej kompozycji utwór jest daleki od symbolizmu. Poszczególne jego warstwy tłumaczą się prawami logiki własnej. Między dwoma punktami skupienia dramatycznego problemu rozgrywa się sprawa ludzkie, zwyczajne i bolesne.

Jest to dramat nie posiadający właściwie bohatera. Szymon jest jakby koryfejsem tragicznego chóru. Słowa jego stanowią oś, wokół której wiąże się sprawa sztuki. Taka kompozycja utworu zdecydowała, że *Obraz*, mimo poważnego akcentu położonego na plastyczne rozplanowanie całości, nie stracił ze swego waloru artystycznego, więcej nawet: że problem uzyskał niejako większe zgęszczenie, niżby to było możliwe w wykonaniu scenicznym.

Na odtwórcy roli Szymona spoczął główny ciężar — ciężar prowadzenia i wiązania dialogu. P. Strachoeki wywiązał się z tego trudnego zadania b. dobrze. Interpretacja

postaci Szymona budziła mimo to zastrzeżenia. Mówił może zbyt jednostajnie, za mało miał prawdziwie dramatycznych akcentów. Dialog reszty wykonawców miał za mało patetycznego tonu. Rozmowa Jana (Danilowicz) i Henryka (Zeleński) np. brzmiała chwilami zbyt realistycznie, rzeczowo, niemal jak rozmowa o interesach. W ogóle obsada ról była nie najszczęśliwiej dobrana. W aktorskim wykonaniu sluchowiska najważniejsze jest zmontowanie odpowiedniego zespołu brzmień głosowych i takie zinstrumetowanie modulacji, aby w ramach możliwe harmonijnej całości uzyskać możliwe największe urozmaicenie.

Oprawa reżyserska *Obrazu* była wyraziście. Ponieważ dziś jeszcze nie można uzyskać pełnej naturalności niektórych odgłosów (grzmoty, brzęk kieliszków, hałas zamkniętych drzwi), na dobro p. Bohdziewicza należy zaliczyć, że efekty akustyczne ograniczył do niezbędnego minimum. Trudno tylko zrozumieć, dlaczego ciekawą i konsekwentnie przeprowadzoną przez autora gwargę zastąpiono językiem na pół literackim. Na specjalne podkreślenie zasługują piękne wykonanie obu piosenek.

K. G.

List do Redakcji

Szczegółowy Panie Redaktorze,

W n-rze 8 (229) *Pionu* w dziale *Przegląd prasy* ukazała się notatka o moim artykule „Wypisanki i wartości ogólne”, zamieszczonym w *Sporadzie*. W notatce tej postawiono mi zarzut, że wywody moje są gołosłowne. Pomijając już to, że twierdzenie powyższe nie zostało w notatce poparte żadnym argumentem, wydaje mi się ono z gruntu niesłuszne. Czyż „wcielanie piękna w życie praktyczne” nie jest „śleskotą do czynu”? Swoista zaś „śleskotą” do takiego czynu była u Conrada i Wyspiańskiego ich twórczość i życie, czego dowodzą — może niezbyt szeroko, ale dotkliwie — w swoim omawianym artykule. Toteż nieogólny zarzut gołosłowności wygląda dość dziwnie, jeśli się zna jako tako życie (choćby na podstawie ich listów) autora *Zwierciadła* i *Rzeczy o wolności słowa* oraz autora *Wesela*, *Wyzwolenia* i *Hymnu*, który kończy się przeciętym zdaniem: „Zwól z wiary wieków podjąć Czyn”.

Łódź, 3. III. 1938.

MARIAN PIECHAL

KSIĄŻKI NADESŁANE

TADEUSZ TESLAR: *Ja chcę żyć*. Warszawa 1937. Skład gł.: Biblioteka Polska.WAŁAWA OLSZEWICZ: *O polsko-słowackiej współpracy na terenie Śląska Cieszyńskiego*. Warszawa 1938. Nakł. Tow. Przyjaciół Słowaków im. L. Sztura.JAN REYCHMAN: *O polsko-słowackiej współpracy w Podhalu*. Warszawa 1938. Nakł. Tow. Przyjaciół Słowaków im. L. Sztura.

Zeszyt poezji francuskiej. Autorzy: APOLLINAIRE, CENDRARS, COCTEAU, JACOB, REVERDY. Tłumacze: Zbigniew Bieńkowski, Julian Rogoziński. Warszawa 1938. Wyd. mies. Orka.

UKAZAŁ SIĘ Nr 2

CZASOPISMA POŚWIĘCONEGO SPRAWOM KULTURY

ATENEUM

pod redakcją STEFANA NAPIERSKIEGO

Cena n-ru zł 2.50

Prenumerata roczna zł 12.50

Konto P. K. O. 16691

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Słoneczna 50 m. 34

ATENEUM jest do nabycia we wszystkich większych księgarniach

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Roman Kołoniecki

ZA WYDAWCĘ: Kazimierz Sowiński